RODZINA polska

MIESIĘCZNIK ILUSTROWANY

WARSZAWA



ZAMEK-LETNISKO — PIASKOWA SKAŁA

Cena egz. 50 gr.

ROZRYWKI UMYSŁOWE

POD KIEROWNICTWEM WARSZAWSKIEGO KLUBU SZARADZISTÓW.

POKÓJ WAM!

SZARADA

Dziś pacyfiści, przywódcy mas,
niby **ośm-dziewięć** pokoju ład;
każdy z nich jednak w ukryciu rad
dozbraja armię w oręż i gaz!

Nikt z nich zapewne nie **sześć-czwór** ci,
że arsenałów ukrywa głąb
torpedy, gazy i stosy bomb,
by **szósty-siódmy** utopić w krwi.

W sprawie pokoju zużyli już,
ośm-półpięć-piąci wciąż męże ci,
bele papieru... A w noce, dni
ludzkość ma stale na gardle nóż!

Nigdy nie **trój-raz** kłamstwo i fałsz!...
Ściskają sobie przyjaźnie dłoń —
każdy z nich jednak bada czy broń
nie wpuści żądła, jak wstrętny płaz.

Trój-czwór i **piąci** ci męże są,
dwa-dziewięć-dziesięć koszmarne dni,
za ten rzekomy pacyfizm ich,
tymczasem wokół armaty grzmią!...

— — — — — — — — — — — — — — — — — — — —

O, Chryste, pomóż w tej pracy nam,
spraw, by kwitł **raz-wtór** pokoju kwiat,
aby spłynęło na ten zły świat
Twe Boskie słowo: „Pax! Pokój wam!...

„Rex" (czł. Kl. Sz.).

OSZCZĘDZAJ!...

ELIMINATKA

Pieniądz w życiu znaczy wiele,
brak go: w **piątej** życie!
Więc oszczędzać, przyjaciele,
trzeba, jak widzicie!

Nie **trzynaste** to smalone,
co ja tutaj głoszę —
mówię serio — **szóste** w stronę —
więc wierzyć mi proszę!

A odkładać jak najprościej
nie do pończoszeczki,
lecz do kasy oszczędności
składać złotóweczki!

Kasa owa niby **czwarta**
chroniąca pisklęta,
chroni wkłady od sług czarta
i płaci procenta.

Ten, kto **jeden**, jak kowale
złoty do złotego,
nie **dziesiąty**, wesół stale,
syty do **ósmego**!

Siedm ta cnota nas nie garstkę,
lecz zdobiła wszystkich,
czy znad Bugu, **Jedenastej**
czy z **czternaście** Wisły!

Po **dziewiąte** zresztą kruszyć
kopie, wszczynać **drugie**,
życie przykładami służy —
zbędne kwestie długie.

Was **trzy** bowiem nie ja **tuzin**,
ale życia nędza...
Bez oracji zatem dużych:
oszczędzać! oszczędzać!

Ze sylab: Bo, bu, by, by, Bzu, co, czę, du, dzy, gro, ku, nę, ni, ra, ry, ry, spo, sy, tu, ty, u, za, żar, że, że — należy złożyć szukane wyrazy, które w treści zastąpione są liczbami. Po wpisaniu tych wyrazów kolejno oraz wyeliminowaniu z nich liter, wchodzących w skład wyrazu (klucza), oznaczającego: zwierzęta przeżuwające (rodz. bawołów), pozostałe litery dadzą rozwiązanie.

„Rex" (czł. Kl. Sz.).

REBUS



Na rozwiązanie składa się znane w historii naszej nazwisko z imionami.

REBUS-TRYLOGIA



Łatwo ją odgadnie, kto ją czytał — a czytał chyba każdy

N. K. Kozłowski i W. Nowicki.

NAD MORZEM...

LOGOGRYF

Jak ogniem zieje niebios przestworze
na morze, piachy oraz na **drugich**,
a **pierwsze** słońca ogniste strugi
zda się **czwór** spalą ziemię i ...morze!
Szósty się ukrył w zaciszny kątek
dziewięć tam drzemie w upalnej nudzie...
W morzu i słońcu pławią się ludzie —
na plaży rojno, gwar, śmiechy, **piąte!**
Nie **trzy** nagusów owych beztroskich
oprócz pogody żadne bolączki —
wre plaża życiem **osiem** do nocki
na tych cudownych wybrzeżach morskich!
Ciche i **siódme** są tylko fale,
bez **dziesiątego** przyjmują gości...
Szemrząc bez przerwy w monotonności
swym seledynem pluszczą ospale!...

Początkowe litery kolejnych wyrazów, zastąpionych w tekście liczbami, czytane z góry na dół, dadzą rozwiązanie. Dla ułatwienia podajemy sylaby szukanych wyrazów: **A, ab, bu, ce, dzi, en, i, ja, ki, krzy, lą, lu, mal, ne, nie, o, o, pa, pa, sor, tu, tycz, wiatr, ze, zja, zmu.**

„Rex" (czł. Kl. Sz.).

Za rozwiązania zadań (lub choćby jednego), przeznacza Redakcja do rozlosowania **nagrody książkowe.** Termin nadsyłania rozwiązań zadań **trzytygodniowy.**

ROZWIĄZANIA ZADAŃ Z NUMERU CZEWCOWEGO

Szarada: **Do Boga płynie modlitwa.**
Logogryf: **Karol Szymanowski — Cześć Jego pamięci!**
Szarada: **Wiosenka na Podolu.**
Homonimy: **Marabur. Set. Kort. Gaza.**
Figielki szaradowe: 1. **Ciepło — płocie.** 2. **Płaszczu — szczupła.**

3. **Pośle — ślepo.**

Rebus: **Na złodzieju czapka gore.**
Trójkąty mag.: Lewy: **Kabel. Ezaw. Lam. KW. a.**

Prawy: **Kabel. Azew. Bez. Ew. l.**

Nagrody książkowe otrzymują: p. Teofil Sobecki, Poznań i p. Emilia Materkówna, Warszawa.

„ROZRYWKA" NA WYWCZASY!

Numer 7 (55) lipcowy opuścił już prasę. Prenumerata kwartalna tylko 2 zł. Adres: Klub Szaradzistów, Warszawa, Żulińskiego 7, m. 10. Tel. 7-06-99. — Żądajcie bezpłatnych numerów okazowych! Tamże do nabycia „Tablica alfabetów chorągiewkowego, Morse'go i palcowego", po cenie 50 gr.

M. Sł.

RODZINA POLSKA

MIESIĘCZNIK ILUSTROWANY

ROK XI. WARSZAWA — SIERPIEŃ 1937 Nr 8.



LEON RADZIEJOWSKI

POLSKA WOBEC WSCHODU

W ponurym państwie czerwonego sztandaru dzieją się rzeczy straszne. Rewolucja pożera już własne swoje dzieci. Jest to zresztą zwykła kolej rzeczy. Dyktator Stalin-Dżugaszwili tępi bez litości „starych bolszewików", nie liczy się ani z ich „zasługami", ani z popularnością w partii komunistycznej, ani z uzdolnieniami. Z otoczenia Lenina, zdaje się, nikt już nie pozostał. „Żyd wieczny tułacz" Bronsztejn-Trockij schronił się aż w Meksyku i stamtąd roztacza swe żale i patronuje opozycji komunistycznej — inni na tamtym już świecie.

Ostatnie załatwienie rachunków Stalina z Tuchaczewskim, nie byle kim, bo marszałkiem czerwonej armii, Jakirem i towarzyszami, nasuwa przypuszczenie, że albo Rosja (tzw. Z. S. S. R.) rządzona jest przez krwawego szaleńca, nieodpowiedzialnego za swoje czyny, albo elita sowiecka zgangrenowana jest doszczętnie i że nie ma takiej zbrodni, której by nie dopuścili się wobec „proletariackiej ojczyzny" ludzie stojący u steru tego państwa, nie z prawdziwego zaiste zdarzenia. Zdaje się jednak, iż należy brać pod uwagę obie te możliwości.

Rosja jest mimo wszystko 160-milionowym kolosem, posiadającym ogromną, dobrze uzbrojoną armię. Kolos ten trzyma się jeszcze na nogach. Okłamywane przez bolszewików masy, odcięte od reszty świata, nie o wszystkim co dotyczy swych władców wiedzą. W bezmiarze swej nędzy moralnej i materialnej sądzą one, że na szerokim świecie, w państwach „burżuazyjnych", jest rzekomo jeszcze gorzej. Ale bunt tych mas, niezmiernie cierpliwych, dojrzewa! Wcześniej czy później muszą one dowiedzieć się prawdy i przejrzeć.

Dziś już, po ostatnich egzekucjach moskiewskich, godzących w prestiż czerwonej armii — znaczenie Sowietów, jako czynnika polityki międzynarodowej, zmalało. Armia, której wodzowie oskarżeni są o zdradę stanu — nie budzi niczyjego zaufania. Srodze są zawiedzeni sprzymierzeńcy Moskwy, którzy tak liczyli na możność użycia bagnetów sowieckich w rozgrywkach europejskich. Na państwo Stalina nikt poważnie liczyć nie może. Jest rzeczą jasną, że ustrój sowiecki bynajmniej nie ustabilizował się, i że Rosji grożą nowe przewroty.

Do bajek należy zaliczyć przypuszczenia, iż Stalin dąży do unarodowienia Sowietów i do pozbycia się Żydów, stanowiących w dzisiejszej Rosji klasę rządzącą. Żydzi po dawnemu są na naczelnych stanowiskach, a świeżo szefem sowieckiej Białorusi zamiast Rosjanina, czy Białorusina, został Żyd. Stalin za wszelką cenę chce utrzymać się przy władzy, a „chytremu Gruzinowi", wyznawcy integralnego bolszewizmu, nie śni się zapewne przebudowa Sowietów na „mocarstwo faszystowskie".

W warunkach rosyjskich nigdy jednak nie wiadomo z jakiej strony nadciągnie i kiedy rozszaleje burza. Pewnikiem jest tylko możliwość tej burzy. A wtedy z wielkiej armii sowieckiej, marzącej o podboju Europy i całego świata, łatwo mogą pozostać strzępy, jak w 1918 roku z 15-milionowej armii carskiej. Będziemy wtedy świadkami rozpadania się czerwonego imperium, ponownie skleconego przez carów czerwonych z dziedzictwa carów — białych. Trzeba zdać sobie sprawę, że nie tylko Ukraina, Kaukaz, Turkiestan czy Karelia utrzymywane są przy Moskwie gwałtem i terrorem, ale i cała ogromna Syberia z bogatymi posiadłościami na Dalekim Wschodzie, kozactwo dońskie, kubańskie, uralskie czy inne.

Sowiety, rzucając fałszywe hasła samodzielności ludów swego imperium, same podsyciły zaledwo kiełkujące separatyzmy. Dziś muszą z nimi walczyć. Proces zaś rozsypywania się Z. S. S. R. stać się musi kataklizmem tak ogromnym, przed którym zbledną wszelkie okropności pierwszych lat istnienia Sowietów i dzisiejsza tyrania stalinowska. Pijane krwią zgłodniałe tłumy sowieckie stać się mogą groźnymi dla sąsiadów.

Z tego chociażby tylko względu musimy pilnie badać wszystko, co się dzieje za kordonem bolszewickim. Musimy być tak przygotowani na wszelkie niespodzianki, by bezpieczeństwo naszych granic nie było narażone na najmniejszy szwank. Burza od Wschodu nie powinna nas zaskoczyć.

Nie żywimy zamiarów agresywnych, szanujemy traktat ryski, ale nie jest dla nas obojętny los milionowej rzeszy Polaków pozostałych pod władzą Sowietów i w ogóle los ludów, wchodzących niegdyś w skład Rzeczypospolitej przedrozbiorowej. W Rydze popełniliśmy błąd pozostawiając Kamieniec Podolski i Mińsk poza granicami odrodzonej Polski. Dziś już wiemy, że odzyskanie tych okręgów nie było wcale mrzonką. W prawdzie Polska wyczerpana i źle jeszcze zorganizowana, nie mogła toczyć dalszej wojny, ale nie mogły jej prowadzić i Sowiety. Przez długie lata ogół polski, zwłaszcza ziem zachodnich, nie doceniał znaczenia naszego Wschodu. Dziś dopiero przyszło zrozumienie, czym są te kresy dla nas i wojskowo, i gospodarczo.

Źle niestety dotąd gospodarowaliśmy i w Małopolsce Wschodniej, i na Wołyniu, i na Wileńszczyźnie. Przecież musi to nas boleć, że w niepodległej Polsce nie tylko nie zwiększyliśmy na kresach stanu naszego posiadania, lecz wydatnie go zmniejszyliśmy. Budowaliśmy na stanie urzędniczym, który nie nadaje krajowi trwałego oblicza, nie dbaliśmy zaś o żywioł polski miejscowy i osadniczy. Jeśli nawet dbaliśmy czasem, to niedostatecznie.

Do dziś braknie nam jednolitej polityki kresowej. W każdym z województw inne panują prądy, a cierpi na tym polska racja stanu. Wszystko to nie czyni nas dobrze przygotowanymi do rozwiązania zadań oczekujących nas na Wschodzie.

Może jednak przyjść taka chwila, gdy na losie sąsiadów najbliższych zaważyć może nasze stanowisko, wbrew nawet naszej woli. Kiedy wołać będą głosem wielkim ruiny pohańbionych za kordonem kościołów naszych na ziemi dla nas świętej, bo obficie zroszonej krwią naszą w obronie wiary i ładu społecznego... gdy — powtarzamy — o bezpieczeństwie własnym myśląc — będziemy musieli powagą swoją przyczynić się do ustalenia porządku prawnego na ziemiach, które były własnością Rzeczypospolitej.

Wielu z nas obawia się myśleć o tym, pozostawiając zajmowanie się sprawami Wschodu, poza oczywiście czynnikami urzędowymi, dyletantom i fantastom, poetom w polityce bez realnego gruntu. Musi to ustać. Sprawy Zachodu są dla nas bardzo ważne — to prawda — ale i o Wschodzie pamiętajmy, bo nie obronimy granic zachodnich, jeśli nie będziemy stać mocną stopą na straży granic wschodnich.

ZOFIA IWASZKIEWICZOWA

DOM I RODZINA

„Pamiętajcie, że tylko te ludy przeżyją inne, które nie pozwolą skazić swej rodziny. Tylko te narody obronią się przed zagładą, które uczynią z rodziny ośrodek polityki społecznej i państwowej, a ożywiać ją będą zasadami Chrystusowymi. Bez moralności, opartej na prawach Bożych rodzina zwyrodnieje, a naród upadnie". (Ze wspólnego „listu pasterskiego" Episkopatu Polski z 21 lutego 1934 r. „O ducha chrześcijańskiego w Polsce!")

Warto sobie uświadomić zaraz na wstępie zasadnicze stanowisko Kościoła katolickiego w sprawie rodziny i jej roli w społeczeństwie i państwie, aby je przeciwstawić poglądom komunistycznym w tych samych sprawach.

Rodzina w Sowietach[1]*)*. Często się teraz mówi i czyta o zmianie stanowiska Sowietów w sprawie rodziny, więc zrodzić się może fałszywy z gruntu pogląd, że może istnieć rodzina bez oparcia się o podstawy religijne, że można ognisku domowemu zapewnić trwałość bez nadania związkowi małżeńskiemu godności sakramentu nadającemu mu nierozerwalność, która stanowi gwarancję Boską trwałości rodziny.

„Bolszewizm musiałby zaprzeczyć całej swej istocie, gdyby, walcząc z Bogiem, nie prześladował tego, co Bóg stworzył, umiłował i uświęcił. Nic więc dziwnego, że ściga Boga wszędzie, a więc i przy ognisku domowym. W całokształcie polityki sowieckiej rodzina musiała się znaleźć na bezwzględnym indeksie. Od pierwszej chwili opanowania władzy przez Sowiety zaczęło się rozbijanie ognisk domowych. Bolszewicy widzieli w nich ostoję indywidualnej gospodarki i tradycyjnych norm życia. Zdawało im się, że rodzina stanowi największą przeszkodę na drodze socjalizacji i powszechnej kolektywizacji. W rozpędzie reformatorskim przede wszystkim pokusili się o zlikwidowanie tych cech rodziny, które składają się na jej całość i samodzielność. Kodeks z r. 1918 głosi, że zawarcie tzw. „małżeństw" — nazwę tę dla pozoru zostawili — nie powoduje obowiązku wspólnego zamieszkania i zagospodarowania się, a również nie obowiązuje do wierności małżeńskiej i nierozerwalności związku. Ta formuła kodeksowa stała się powszechnym hasłem do zupełnego rozprzężenia życia rodzinnego. Ojcostwo i macierzyństwo to rzecz zupełnie przypadkowa, dziejąca się poza ramami ogniska domowego. Stąd nieprzeliczona ilość procesów alimentacyjnych. Szukanie ojca stało się nagminnym zjawiskiem. Wpłynęło to ujemnie na los kobiety i dziecka. Stąd kobiety w Sowietach zaczęły unikać potomstwa, aby jego udziałem nie stała się bezdomność i nędza. Miliony dzieci obdartych, głodnych, chorych i zdemoralizowanych odstraszająco stwierdzały, czym jest dziecko bez rodziny. Nie pomogło, że wszystkie dzieci, niezależnie od legalności związku zrównano w prawach, nie rozwiązało spraw nadanie rodzicom tytułu delegatów rządowych do wychowania własnych dzieci.

Ten stan rzeczy otrzeźwił nieco doktrynerów sowieckich. Już w r. 1926 przeprowadzono reformę małżeństw, ustalając, że małżeństwa mają obecnie wspólnie mieszkać i stanowią pewną jedność prawną. Ale i te normy kodeksowe nie poprawiły sytuacji. Rozwydrzenie jakie opanowało całe społeczeństwo, nie da się tak łat-

[1]) Na podstawie art. ks. Zygmunta Wądołowskiego. „Komunizm a rodzina" (Kurier Warszawski, nr. 45)







wo ująć w karby. Ponieważ zaś bolszewikom potrzeba jest nowych ludzi, uznali więc za wskazane zareagować przeciwko temu, co sami przed laty uznali za wskazane. Po to przed rokiem, a nawet przed 2 laty rozpoczęła się na wielką skalę propaganda na rzecz rodziny. Zaczęto wychwalać to, co przedtem zdeptano i zmieszano z błotem: piękno miłości rodzinnej, wierności małżeńskiej, radości ogniska domowego, rolę matki i pani domu. Padło hasło: „Frontem do rodziny”[2]). Czy w ten sposób komunizm też popadł w sprzeczność z własną doktryną? Niewątpliwie tak. Komunizm nie może uznawać małżeństwa jako podstawy gospodarki indywidualnej, opartej na własności prywatnej, którą według niego winna zastąpić gospodarka socjalistyczna i kolektywiczna. Względy praktyki politycznej nakazały Sowietom rezygnację z tego założenia, ponieważ zaczyna grozić Rosji depopulacja i dezorganizacja życia zbiorowego. Kobiety rosyjskie też już dosyć miały tego wyrzekania się ogniska domowego, prawa do macierzyństwa, prawa do wychowywania własnych dzieci w normalnych warunkach, zapewniających im opiekę obojga rodziców, i głośno, co raz głośniej domagały się zabezpieczenia praw rodziny.

Nie oglądając się więc na sprzeczności teoretyczne podjęto w Rosji na gwałt szeroką akcję na rzecz rodziny, którą wspomaga socjalne ustawodawstwo. Obostrzono przede wszystkim przepisy, dotyczące rozwodów i sztucznego unikania potomstwa, zorganizowano pomoc dla matek, szczególnie obarczonych liczną rodziną, zaczęsto urabiać poglądy mas rosyjskich, dotyczące zagadnienia płodności i rodziny jako odpowiedzialnego ośrodka wychowawczego. Ale czy można od tej akcji oczekiwać poważnych wyników? Polityka propagandy płodności nie jest przecież polityką integralnego życia rodzinnego. Nie można sobie wyobrazić ogniska rodzinnego bez właściwej moralności. A moralność ta potępia wolną miłość i wolne macierzyństwo ze wszystkimi ich praktykami. *Nie może istnieć rodzina bez oparcia się o podstawy religijne*, a tych nie dostarczy państwo materialistyczne.

Tylko religia, zwłaszcza katolicka, może stać się źródłem energii i ofiary, niezbędnej do spełnienia wielkiej misji rodziny, tylko ona może zabezpieczyć ognisku domowemu trwałość i zakreślić granice wzajemnych obowiązków jego członków. Tylko sakramenta mogą dodać sił dla wykonania trudnych obowiązków, jakie nakłada rodzina.

Całe smutne bankructwo eksperymentu sowieckiego z rodziną stanowi wymowne potwierdzenie wartości małżeństwa chrześcijańskiego.

Z prymasowskiej stolicy słyszymy taki głos duchowego ruchu katolicyzmu w Polsce.

„Jedno z najwznioślejszych zadań ma odrodzenie duchowe do spełnienia w rodzinie. W to grono ludzi, którzy tytułem krwi do siebie należą, ma wnieść pierwiastek nadprzyrodzony, aby się z mieszkania rodzinnego stała rodzinna świątynia, a z ogniska domowego domowy ołtarz, a z ojca rodziny kapłan, z matki anioł, z dziatwy zaś świece, a silne pędy na drzewie Kościołem i narodem. Odrodzenie odnowi tę wiarę i miłość, wzmocni jedność, ugruntuje święty obyczaj i wychowanie dzieci w bojaźni Bożej. Rodzina katolicka musi odżyć jako zdrowa i pełna życia komórka religijna i społeczna”. (O życiu katolickim na Śląsku, Katowice, d. 1 marca 1924 r). Obecnie w Polsce coraz powszechniejsze jest zrozumienie społecznego znaczenia rodziny, jej rolę w odrodzeniu społeczeństwa, a co za tym idzie w odrodzeniu świata w Chrystusie. Wydaje się pismo, poświęcone specjalnie zagadnieniu rodziny, nawet w wydawnictwach dla młodzieży artykuły w tej sprawie dużo miejsca zajmują, („Harcerz” — miesięcznik młodzieży harcerskiej, istnieje w Warszawie). Specjalna komisja do spraw rodziny utrzymująca kontakt z analogicznymi organizacjami zagranicą, hasła odrodzenia rodziny i katolickiego wychowania młodzieży dominują we wszystkich poczynaniach „Akcji Katolickiej”. Zdaje się, że już wszystko, co dotyczy rodziny katolickiej, jej znaczenia, obowiązków, zadań każdego z poszczególnych jej członków zostało wypowiedziane, napisane, wysłuchane, przedyskutowane.

Nie jednak przed oczami nawet znane prawdy, uświadomić obowiązki, przypomnieć co w tej dziedzinie jest jeszcze do zrobienia, ponieważ zwracamy się do działaczek Akcji Katolickiej przede wszystkim chcemy położyć nacisk na *wychowawcze znaczenie rodziny*, by zachęcić je do *zorganizowania przy każdym Kole K. S. K. komisji pedagogicznych* lub przynajmniej referatów pedagogicznych, które by miały na celu oddziaływanie na matki rodzin w kierunku szerzenia wśród nich odpowiedzialności za wychowanie młodego pokolenia i dawania im wskazówek pedagogicznych przez zapoznanie ich z wszystkimi metodami wychowania w rodzinie. Sprawę tę uważamy za bardzo ważną, za pierwszorzędną w katolickich organizacjach kobiecych bo od tego, jak wychowamy młodzież, zależeć będzie przyszłość narodu i państwa, a przecież trud wychowania spoczywa z różnych względów bardziej na matce niż na ojcu. Dziś wymaga się specjalizacji w każdym fachu, intuicja i korzystanie z doświadczeń naszych ojców i dziadów, dziś już nie wystarcza na żadnym polu, od rzemieślnika obok odbycia praktyki w warsztacie majstra wymaga się teoretycznego przygotowania w szkole dokształcającej zawodowej, nie ma jednak dotąd przynajmniej w Polsce przeszkolenia dla osób, zakładających rodzinę, a więc biorących odpowiedzialność za wychowanie młodego pokolenia, za urobienie charakterów naszej młodzieży, czyli za coś więcej, niż za wykonanie solidnej pary butów lub prostych mebli.

Tę lukę muszą uzupełnić stowarzyszenia społeczne i to nie tylko, jak dotąd wmawiano, skupiające ludzi dorosłych, a niekiedy starszych, którzy już swoje dzieci odchowali i nie mogą cofnąć popełnionych błędów, ale przede wszystkim te, które skupiają młodzież. Bo, pragnąc bez troski i niepokoju patrzeć w przyszłość narodu i państwa, trzeba pomyśleć o wychowaniu następnych pokoleń, o przyszłych matkach i ojcach, a tym, którzy już obowiązki rodzinne na siebie przyjęli bez uprzedniego w tym względzie przygotowania, pomóc do ich najlepszego spełnienia.

Dlatego przede wszystkim staje przed nami wychowawcze znaczenie rodziny.

Dom rodzinny. „Z domu rodzinnego wyniósł umiłowanie wszystkiego, co polskie”, czytamy niemal w każdym życiorysie wybitniejszych działaczy czy na polu pracy społecznej, czy zawodowej, czy politycznej. Wiemy wszyscy czym był dom i jego atmosfera w czasach niewoli. Jemu głównie zawdzięczamy przechowanie tych skarbów, jakimi są odrębność wiary, kultury, tradycji i języka.

Wroga szkoła, służba w obcym wojsku, praca w urzędach, prześladowania, zagrażały nie tylko wynarodowieniem ale i spaczeniem charakteru. Jedyną siłą, o którą rozbijały się zakusy zaborców była rodzina polska, dom

[2]) Ks. Z. Wądołowski. Art. w Kurierze Warsz., nr. 45 1937 r.

rodzinny, choć cichy i bezbronny. Tam wykuwały się charakter, kształtowały pierwsze uczucia, zapalały się światła ideałów, które przyświecać miały w dalszym życiu. Pałac, dwór, drobny zaścianek szlachecki, miejskie mieszkanko, wiejska chata, tychże matka-patriotka stała na straży przed wtargnięciem do swego domu wrogich mu wpływów, gdzie sama czuwała i w dzieciach swych pielęgnowała głębokie przywiązanie do wiary, mowy, obyczaju, to były te twierdze, te strażnice kultury polskiej, które pozwoliły się jej ostać, mimo wszelkich prześladowań.

I dziś dom polski musi prowadzić defensywę, musi nadal odgrywać rolę strażnicy dla kultury chrześcijańskiej, której zagraża inwazja obcych wpływów od wschodu bezbożnictwo i materializm; bo przecież w domu rodzinnym przede wszystkim tworzy się kultura narodowa, z domu rodzinnego rozlewa się szeroką falą na całe życie społeczne i państwowe. „Z domu rodzinnego wychodzą ludzie wielcy lub karły, w zależności od tego, jak ten dom spełniał swoją rolę, czy był stworzony z poczucia odpowiedzialności, czy ma w sobie te wszystkie elementy, które wychować mogą człowieka, zdrowego fizycznie i duchowo, mającego niespaczone instynkty, obdarowanego energia twórczą, pragnieniem przetworzenia życia w imię ideału.

Budowa takiego właśnie gniazda rodzinnego nie jest rzeczą niewykonalną. Piękną i bogatą ma dom polski tradycję, hojnymi garściami z niej czerpać można. Trzeba tylko wiedzieć o tym i chcieć — trzeba dobrej woli[3])! Czy zdają sobie z tego sprawę młodzi, którzy przystępują do zakładania własnego domu, czy odczuwają swoją odpowiedzialność za to, co do niego wnieść mogą, jakimi wytycznymi kierować się będą, tworząc środowisko, w którym nie tylko ich życie płynąć będzie, ale w którym kształtować się mają dusze przyszłych pokoleń?

Może tylko niewielka liczba młodych panien i chłopców w okresie narzeczeństwa myśli o tym, pochłonięta wizją przyszłego osobistego szczęścia we dwoje. Może w tym okresie już zapóźno stawiać im przed oczy trudne obowiązki, jakie na siebie przyjmują, odpowiedzialność, przed jaką stoją. Należało by to uczynić wcześniej, nie obawiać się poruszać tych tematów już z młodzieżą wyższych klas gimnazjalnych lub w wieku tym klasom odpowiadającym; wywołując w niej odpowiednio poważne nastawienie do małżeństwa i rodziny, zrozumienie obowiązków, jakie jej założenie nakłada, konieczność brania pod uwagę przy wyborze przyszłej towarzyszki czy towarzysza życia, pytanie, czy potrafi ona lub on stworzyć taki dom rodzinny, jakiego nam najbardziej potrzeba. Każdy dom polski, stworzony lekomyślnie, bez poczucia odpowiedzialności jest grzechem społecznym i tak winien być przez społeczeństwo traktowany.

„Ileż w Polsce powstaje takich domów, które wnoszą w życie narodu pustkę i bezduszność, materializm i bezideowość, szarość i brzydotę, egoizm i zakłamanie, oziębłość uczuć i brak entuzjazmu do rzeczy wielkich i pięknych, lenistwo, bierność, kosmopolityzm i tyle innych wad, tak pospolitych w naszym życiu.

Oczywiście jest to wynik niezdawania sobie sprawy z roli i ważności domu, nieznajomości zasad, na których winien być oparty.

Jakże dziś często dom rodzinny staje się hotelem, lokalem, w którym się śpi i spożywa posiłki. Nic więcej ludzi z nim nie łączy ponadto. Są tak dla niego obojętni, jak względem siebie samych, choć do jednej należą rodziny.

A przecież dom mógłby być zakątkiem w którym by człowiek żył pełnią życia, w którym by zgromadził to wszystko, co go interesuje, cały ten świat jego umiłowań, w którym by znalazł wytchnienie, ostoję i ciszę — szczęście, którego próżno mu szukać gdzie indziej[4]). Nie zapominajmy, że prócz wrogów zewnętrznych, którzy grozili duchowi narodu w latach niewoli, są i wrogowie wewnętrzni, którzy grozili zawsze spoistości rodziny, a w obronie przed którymi i dziś, może dziś tym bardziej domy nasze musimy zamienić w fortece. Forteca ta winna być ostoją tradycji i patriotyzmu, ale niech dziś już na tym nie poprzestaje. (C. d.).

[3]) Z art. R. Tomaszewskiego: „Ku polskiemu domowi".

[4]) R. Tomaszewski. Ku polskiemu domowi.



KASPER ALOYS

RODZINA Z LICZNYM POTOMSTWEM
WOŁA O SWE PRAWA

Jako współpracownikom Akcji Katolickiej nie jest naszym *pierwszym zadaniem* wywalczać konkretne ustawy na terenie polityki i za pomocą środków politycznych. Tym większy ciąży na nas *moralny* obowiązek wobec Boga, Kościoła i społeczeństwa: musimy z całą energią dążyć do tego, by poruszyć sumienie publiczne, pomóc ludziom utorować drogę do *wewnętrznego* nawrócenia, wskazać praktyczne drogi i kierunki do wydania nowych praw i zaprowadzenia nowych urządzeń społecznych, które uznają i wezmą w ochronę prawa rodzin obarczonych licznym potomstwem.

A. Zasadnicze żądania.

1. Musimy stanowczo odrzucić szeroko rozpowszechniony pogląd, że domagamy się od państwa *darowizny* lub*przywileju* z powodów egoistyczno-gospodarczych. Nie jesteśmy wcale żebrakami wobec państwa czy też społeczeństwa. Zgoła *przeciwnie: walczymy* o naturalne prawa życiowe rodziny jako takiej w *społeczeństwie, ekonomii i polityce.* Każda dziedzicznie nieobciążona rodzina ma bowiem pewną misję do spełnienia, która wyraża się w tym, że rodzina powinna *być lub stać się* rodziną o *licznym potomstwie.* Tylko załamanie się wartości moralnych i nieuporządkowana pod względem moralnym forma gospodarcza doprowadziły do tego, że małżeństwa *bezdzietne* lub *nie posiadające* licznego potomstwa uchodzą za *rodziny normalne,* natomiast rodziny o *licznym potomstwie* są uważane za nienormalne i stanowiące ciężar zarówno dla państwa, jak społeczeństwa. *Pierwszym* naszym żądaniem jest więc to, aby rzeczywiście lub potencjonalnie w *liczne potomstwo* wyposażona rodzina została znowu wobec prawa i ustawy uznana przez społeczeństwo i państwo jako rodzina *normalna i zgodna z prawem natury* i żeby też w odpowiedni sposób była traktowana.

2. Z tego wynika samo przez się *drugie żądanie:* rodzina o licznym potomstwie nie może być przede wszystkim przedmiotem opieki charytatywnej lub publicznej troskliwości (przytułki!), ale jako *rodzina normalna* musi stać się *ośrodkiem* całej przebudowy gospodarczego i państwowego życia. Rodzina jest *pierwszą* instytucją, jej musi wszystko inne *służyć:* ustawa, prawo, ekonomia, maszyna.

3. Akcja Katolicka nie wysuwa tego żądania *przede wszystkim* z powodów natury populacyjnej, obronnej, gospodarczej, lecz z przyczyn moralnych. Dla nas zgodna z prawem natury, normalna rodzina jest *naturalną komórką Królestwa Bożego,* podobnie jak zdrowe ciało jest przedstawicielem duszy. Ktokolwiek *niszczy* naturalną, normalną rodzinę, czy to będzie ustawa, prawo zarobkowe, forma gospodarcza, prasa wrogo do rodziny nastawiona lub wrogie Chrystusowi bezbożnictwo, wszystko to niszczy zawsze zarazem komórkę Królestwa Bożego. Nie dziwmy się tedy, gdy w wielu rodzinach wyniszczonych pod względem gospodarczym i moralnym zamilknie modlitwa: przyjdź Królestwo Twoje! *Nasze najwyższe i najuroczystsze* prawo do przywrócenia licznej w potomstwo rodziny jako normalnej rodziny wypływa zatem z nieodzownego obowiązku Kościoła: urzeczywistnienia Królestwa Bożego na ziemi.

4. Poszczególne *zasadnicze żądania* wynikają z prawa naturalnego i chrześcijańskiego stanowiska rodziny.

a) Każdy zdrowy człowiek, mężczyzna i kobieta mają naturalne *prawo* do zawarcia małżeństwa we *właściwym* czasie.

b) *Rodzina,* to znaczy normalna, posiadająca liczne potomstwo, ma przed *innymi* prawo do *pracy,* gdyż praca ta jest *pierwszym* i pierwotnym środkiem, zapewniającym egzystencję rodzinie.

c) Wynagrodzenie za pracę musi być zatem zasadniczo ustalone odpowiednio do zabezpieczenia egzystencji rodzin z licznym potomstwem.

d) Tam, gdzie praca jednostek i *samopomoc* nie wystarczają dla zabezpieczenia egzystencji, ogół jest *obowiązany* udzielić tego *zabezpieczenia,* gdyż dobra ziemi dane są do użytku wszystkich w takiej mierze, w jakiej oni ich potrzebują.

e) W ramach tego obowiązku należy, jeżeli zajdzie potrzeba, drogą *pozytywnego* prawa uporządkować podział, względnie nowy podział dochodów i dóbr.

f) Nienaruszalne jest również prawo do swobodnego, moralnego rozwoju indywidualności człowieka, do religijnego wychowania i wznoszenia się utalentowanych jednostek na szczeble wyższej odpowiedzialności i ważniejszych funkcji społecznych.

5. *Źródłem* tych praw zasadniczych dla Kościoła i Akcji Katolickiej nie jest świecka Konstytucja, ani debaty i uchwały rządów, tym mniej jednostronnie nastawiona opinia publiczna, dziś (niestety!) urabiana przez większość i bezdzietnych, lub nielicznym potomstwem obdarzonych rodzin, albo też wreszcie dla potomstwa wrogo usposobionych.

Dla nas *jedynym i wiecznym źródłem jest rozkaz Boży: Rośniejcie i rozmnażajcie się, czyniąc sobie świat poddanym;* jest to zarazem Boży program społeczny: *ujarzmić i opanować ziemię, żeby człowiek mógł żyć!*

Każdy system, każdy ustrój społeczny, każda próba rozwiązania sprawy społecznej wbrew temu odwiecznemu prawu Bożemu jest z góry skazana na zagładę. Widoczne to czasami dopiero po upływie dziesiątków lat lub wieków całych! Tu osiągają znaczenie w całej swej grozie słowa Chrystusowe: „Nie możecie (nie: nie powinniście) Bogu służyć i mamonie!" Nie możecie! A jeżeli mimo to próbować będziecie, niepowodzenie jest pewne.

B. Środki zaradcze na okres przejściowy.

Póki to zasadnicze prawo Boże nie zostanie uznane, póki nie przeniknie ono ustaw, praw, póki nie znajdzie życiowego zastosowania w ekonomii, społeczeństwie i polityce, póki *liczna w potomstwo* rodzina uważana będzie za *nienormalną* i jako beznadziejna mniejszość będzie stała naprzeciw przygniatającej wrogiej większości, póki trwać będzie ten *stan wyjątkowy, stan oblężenia,* póty na wszystkich obywatelach będzie ciążył obowiązek chronienia *licznej w potomstwo* rodziny, jako *wyspy* życia wśród morza śmierci, bronienia za pomocą *przejściowych środków pomocniczych i ochronnych,* gdyż rodzina z licznym potomstwem jest ostatnim szańcem ochronnym w walce przeciw uśmiercania narodu.

MARIA NIESIOŁOWSKA

O DUSZĘ DZIECKA

Ksiądz katecheta oznajmił dzieciom, że założy w mieście kółko Krucjaty Eucharystycznej, że w niedzielę po Mszy św. odbędzie się zebranie i że dzieci, którym rodzice na to pozwolą, mają przybyć. Pojechał więc na to zebranie także Mietek, syn gospodarza, razem z synem nauczyciela i z panią nauczycielową, którą ojciec jego zawsze woził do kościoła. Po zebraniu wypytywała pani nauczycielowa Mietka i swego syna, jak to było na zebraniu co robili i co mówił ksiądz. Gospodarz uśmiechał się na to trochę drwiąco i machnął ręką pobłażliwie, jakby chciał powiedzieć: „Ech, co tam! dzieci to zawsze tak; mają swoje dziecinne rozrywki; co nam dorosłym do tego". Mietek chciał właśnie odpowiedzieć dokładnie na pytanie pani nauczycielowej. Ale kiedy spostrzegł lekceważący ruch swego ojca, mruknął tylko coś półgłosem i potem zamilkł. Pani nauczycielowa spojrzała z wyrzutem na gospodarza i potem zwróciła się do swego syna, który żywo i z przejęciem dokładnie opisał cały przebieg zebrania. Ona zaś słuchała uważnie. Raz po raz przerwała jakimś zapytaniem.

Oto bolączka, jaką często zauważa się na wsi: rodzice za mało uwagi poświęcają swoim dzieciom. Nie zajmuje ich to, gdzie dziecko było, co tam widziało, co słyszało. Nie pytają się o to, co dziecko myśli, co przeżywa, co je dręczy i co mu radość sprawia. Rodzice zbyt często żyją swoim życiem, nie troszcząc się o to, jakim życiem żyje ich dziecko. I ów gospodarz, ojciec Mietka, ze swoim lekceważeniem tego, co zajmuje syna i co przeżywa syn, to jeden z wielu, którzy tak właśnie obojętnie odnoszą się do swoich dzieci.

Dobrzy rodzice wprawdzie dają dzieciom jeść, przyodziewają je dostatnio, tyle, na ile ich stać, i pilnują bardzo, by dzieci były co niedzielę na Mszy świętej, by rano i wieczorem odmawiały pacierz, by przeżegnały się przed każdym posiłkiem, by uszanowały starszych i uszanowały ciężko zapracowany kawałek chleba. Niejedna matka spędza bezsenne noce z troski, gdy nie wie, za co dzieciom buty kupić na zimę i gdy widzi, że kończy się zapas zboża, a jeszcze daleko do żniw.

Pomimo to zauważyć można nawet u dobrych rodziców pewne b ł ę d y w wychowaniu, nad którymi właśnie dziś mamy się zastanowić.

Jednym z tych błędów, to właśnie wyżej wspomniany: b r a k z a j m o w a n i a s i ę tym, co dziecko przeżywa i widzi i słyszy w szkole, wśród kolegów i na innych miejscach poza domem rodzicielskim. Nic dziwnego, że w czasie żniw czy sianokosów, kiedy każdemu robota pali się w rękach, nie ma matka czasu wypytywać, jak to tam było w szkole i czy rachunki już tyle trudności nie sprawiają; albo co to właściwie jest ta „krucjata eucharystyczna", do której ksiądz katecheta kazał się zapisać; jak to powstała ta organizacja, jakie ma zadania i cele; albo co to jest to harcerstwo, do którego znowu namawia jedna z pań, albo co to za organizacja „Orlęta". Żadna matka wtedy nie ma czasu wysłuchać syna, czy córki, którzy radzą się matki, do czego lepiej przystąpić z tych organizacyj — czy może do wszystkich razem? Ani nie ma ona czasu zwrócić baczną uwagę na to, co jedno z nich mówi o nowej pani, która zachwala zawsze Bolszewię i wyraża życzenie, by w Polsce niebawem było to samo.

Nie — podczas żniw, sianokosów i innych bardzo pilnych robót, żadnej matce nie weźmie się za złe, jeżeli mniej zajmie się dziećmi. Ale te czasy gorącej roboty nie trwają przecież przez cały rok. Bardzo dużo jest

---

Dokończenie art.: „Rodzina z licznym potomstwem woła o swe prawa".

1. Nietykalnym jest tutaj prawo licznej w potomstwo rodziny do ochrony jej *godności i czci* w społeczeństwie, ekonomii, prasie, opinii publicznej. Nienaruszalne jest również prawo do *samopomocy i samoobrony* w ramach swobód konstytucyjnych: np. cenzura prasowa, która by ograniczała to prawo, wykraczałaby przeciwko czci i godności rodziny. Jest również nieodzowną koniecznością, by wreszcie związek rodzin o licznym potomstwie rozwinął się jako samodzielna organizacja skazana głównie na *samopomoc i samoobronę!*

2. O ile samopomoc i samoobrona nie wystarczają, potrzebne są uzupełniające pozytywne ustawy i środki. Dla *przykładu* kilka z nich podajemy:

a) *Prawo do pracy* ojców rodziny; licznych w potomstwo: im więcej dzieci, tym większe naturalne prawo do pracy (zatem poprawa ustaw o pracy i o pośrednictwie pracy).

b) *Rozsądne wyrównanie zarobków:* jeśli podczas wojny „bataliony śmierci" były zawsze uważane za uprzywilejowane, wobec tego należy się to samo batalionom rodzin w liczne potomstwo pobłogosławionych, które walczą przeciw uśmiercaniu narodu. Nie tu miejsce na dyskusję nad formami, jakie przybrać mają „kasy wyrównawcze" itp.; rzeczą pewną i niewątpliwą jest wszakże to, że takie powstać muszą!

c) Sprawiedliwe wymierzanie *podatków:* żadnej darowizny, lecz tylko prawa! Rodziny z licznym potomstwem nie tylko są najlepszymi konsumentami, płacą nie tylko odpowiednio większą sumę w podatkach pośrednich: płacą przede wszystkim najcięższy ze wszystkich podatków, podatek krwi narodu, nie tylko w czasie wojny, która najwięcej je dotyka, lecz także w pokojowej walce gospodarczej (przebudowie systemu podatkowego!)

d) *Prawo do ziemi, powietrza i światła!* Nie można dopuścić, by rodziny bezdzietne lub obarczone nielicznym potomstwem zajmowały domy przeznaczone dla rodzin z licznym potomstwem, a te ostatnie musiały się gnieździć po przytułkach.

e) Prawo *opanowania maszyny.* W dzisiejszych czasach właśnie maszyna niszczy rodziny z licznym potomstwem. Któż bowiem ma więcej niż one ramion do pracy? (Ustawowe uporządkowanie opanowania maszyny!)

Nie mówcie, to wszystko jest „niemożliwe" w czasach dzisiejszych. Rzeczywiście, rzeczą bardziej niemożliwą jest chęć odnowy społeczeństwa wbrew prawom natury, wbrew odwiecznym życiowym prawom Bożym! Posiadający liczne potomstwo walczą nie tylko za setki tysięcy mocujących się duchowo i gospodarczo, lecz także za setki tysiecy nienarodzonych! A za nimi wszystkimi stoi jednak nawołujący i sądzący Bóg.

dni, a zwłaszcza niedziel, w które matki często marnują czas na próżne gawędy z sąsiadkami. A byłoby o wiele pożyteczniej ten właśnie czas poświęcić dzieciom. Zresztą nie chodzi tu wcale tak bardzo o brak czasu. Chodzi o tę d o b r ą w o l ę, chodzi o to b a c z n e o k o matczyne, chodzi o to s e r c e troskliwe, które nie tylko trapi się o brak butów i brak chleba powszedniego, ale także o d u s z ę dziecka, o to, żeby w jego umyśle nie zapanowały jakieś fałszywe pojęcia. Są przecież matki, które z dobrocią serca łączą mądrość wielka. Takie rozumieją, że na świecie odgrywają się nie tylko wojny z orężem, z armatami, z hukiem i gazami trującymi, ale jeszcze wojny myśli. Wojny duchowe i o duszę. Wojny, w których piórem, a więc pismami i słowem walczą obozy przeciwne, a nie armatami. Wojny, w których chcą jedni drugich przekonać o tym, że oni maja słuszność, i że trzeba świat przekształcić według ich myśli. Wojny orężem toczą się tylko między żołnierzami w mundurach. Ale wojny myśli toczą się także między zwykłymi ludźmi i starają się zdobyć dla siebie i podbić przede wszystkim dzieci i młodzież. Bo dzieci i młodzież — to przyszły świat, to świat za lat 20 i 30. Jaki będzie ten przyszły świat, to zależy od tego, które myśli będą miały najwięcej zwolenników. Jedni chcą, żeby on był komunistyczny, na wzór Bolszewii, drudzy chcą, żeby był na wzór Niemiec i Włoch z Hitlerem i Mussolinim. My chcemy, żeby królował w nim C h r y s t u s P a n. Bo — jakkolwiek w tych innych myślach jest wśród wiele fałszu, wiele prawdy — wśród wielu złych rzeczy, także wiele dobrych rzeczy — tak jednak wiemy, że żaden ustrój nie może być dobry i nie może dać obywatelom trwałego szczęścia, jeżeli nie będzie przeniknięty wiarą w Boga i nadzieją w życie wieczne i miłością Boga i bliźniego taką, jakiej nam dał przykład i naukę Pan Jezus.

Skoro więc jesteśmy przekonane o tym, będziemy chciały, żeby i nasze dzieci dążyły do tego, by królem najwyższym w Polsce był Chrystus Pan. A nie chcemy, by zdobył ich dla siebie ktoś, kto ich uczy, że mają dążyć do jakiegoś ustroju bez Boga.

Jeżeli zaś tego chcemy, będziemy się pilnie dowiadywać, jakie pisemka dzieci czytają, jakie zasady nauczycielstwo im głosi, co robią na zebraniach w swoich organizacjach.

Niedawno zdarzyło się w jednej szkole w małym miasteczku, do której uczęszczały dzieci także z wszystkich okolicznych wsi, że nauczycielka ciągle zachwalała życie w Bolszewii i wyrażała życzenie, żeby i w Polsce niezadługo tak się stało. Część dzieci wróciła do domu, zamyślona nad słowami nauczycielki, nie wspominając w domu nic, bo wiedzieli dobrze, że i tak ani mamusia, ani tatuś ich słuchać nie będą, bo są ciągle czemś zajęci i nie mają na „takie rzeczy" czasu. Inne dzieci wróciły do domu, opowiadają o tym wypadku, ciekawe, co też rodzice powiedzą. Ale rodzice zbywają ich byle jakim: „głupia jest ta twoja pani!". Kilku tylko jest tak szczęśliwych, że mogą w domu z rodzicami omówić całą sprawę, że dowiadują się, jak jest w Rosji naprawdę, i dlaczego, jakkolwiek teraz tak ciężko jest w Polsce, jednak o wiele gorzej byłoby, gdyby się stało tak, jak pani tego pragnie. Szczęśliwe dzieci, które mają takie oparcie o dom w czasie wielkiej zawieruchy myśli, jaka panuje na świecie.

Żeby jednak móc z dzieckiem porozmawiać o takich zagadnieniach, trzeba samej być światłą i być świadomą tego, co się w świecie dzieje. I to jest jednym z zadań Akcji Katolickiej kobiet, żeby o ś w i e c i ł a m a t k i pod tym względem. Dlatego robi się nieraz smutno na duszy, kiedy się jest na zebraniu matek i takie tam wszystkie kobiety bierne, tylko słuchają i kiwają i same nie zabierają głosu, jakby nie było się o co zapytać i jakby nie było o czym pomówić.

A gdy w jednym z oddziałów zaprowadzono zwyczaj zbierania dzienników do dużej skrzyni i każda mogła sobie wziąć gazetę i dowiadywać się, co się w świecie dzieje, to ż a d n a nie korzystała z tego, że bezpłatnie mogła mieć gazetę.

Oczywiście nie wszędzie tak jest. Są przecież matki, które doskonale wiedzą, dlaczego jest wojna w Hiszpanii i jaka jest walka między Hitlerem i episkopatem w Niemczech i jakie prześladowanie cierpią katolicy niemieccy. Wiedzą o tym, co Ojciec święty w encyklikach powiedział o wychowaniu katolickim, o obowiązkach rodziców wobec dzieci i o wzajemnych obowiązkach małżonków i o tym, jak powinien dbać o robotnika pracodawca i czego robotnik wymagać powinien i wiele, wiele innych rzeczy. W ten sposób chce Ojciec święty, jak dobry pasterz, nas ustrzec przed bałamuctwem wielu nowych myśli i dążeń dzisiejszych.

Wiele jest matek, które, dowiedziawszy się, że w szkole utworzyła się drużyna harcerska, dowiadują się o celach i zadaniach harcerstwa i gdy dziecku udzieliły pozwolenia przystąpienia do tej organizacji, mającej wyrobić dzielność i zaradność, przystąpiły do koła rodzicielskiego, żeby otaczać swoją opieką i przyjaźnią tę drużynę i czuwać nad dobrym jej rozwojem. Znam matkę, która, gdy ksiądz założył „krucjatę eucharystyczną", poszła do tegoż księdza, żeby dowiedzieć się dokładnie, w jaki sposób organizacja ta oddziaływuje na dzieci, czyli jakimi metodami się posługuje. Bo chciała móc współdziałać z tą organizacją nad wychowaniem swego dziecka. Po zebraniu niedzielnym zawsze razem ze swym dzieckiem czytała pisemko organizacyjne i nigdy nie zabrakło jej czasu, gdy stanął przy niej syn, żeby podzielić się z nią swymi wrażeniami ze szkoły czy z zabawy z kolegami, czy z zebrań. Nigdy nie zabrakło jej czasu, bo o takich sprawach można przecież mówić, gotując równocześnie polewkę, czy cerując i łatając, czy też przy obieraniu ziemniaków.

Ale obok takich matek rozumiejących dobrze swe zadanie akcji katolickiej i spełniających je na co dzień — jest mnóstwo innych, jest niestety większość innych. Nie mamy na myśli tych, które o dzieci zupełnie nie dbają, ale mamy na myśli te, które kochają swoje dzieci i dbają o nie jak umieją najlepiej, którym nie brak dobrej woli, ale którym brak pełnego zrozumienia ich obowiązków. Bo obowiązki dobrej matki nie kończą się na tym, że daje ona dziecku co niedzielę świeżą, połataną starannie, bieliznę, że gotuje i wydziela mu zawsze w porę strawę, że pilnuje pacierza dziecka i pilnie hoduje kury, by było za co kupić zimą buty i kurtkę — ale dobra, światła matka, członek Akcji Katolickiej, bierze udział w tym, co teraz na świecie się dokonuje: w p r z e b u d o w i e ż y c i a s p o ł e c z n e g o. To nowe życie będzie przecież światem, w którym żyć będą jej dzieci, jej wnuki, krew z jej krwi. Więc kto jak kto, ale *matka* powiedzieć nie może: „niech się na świecie dzieje, co chce, byleby u mnie było dobrze i cicho", bo właśnie to, co się dzieje na świecie, to buduje i kształtuje to nowe jutro, to życie w przyszłości, z którego korzystać będą jej dzieci i wnuki. Więc dlatego to ona właśnie i jej towarzyszki w oddziale Akcji Katolickiej Kobiet tak pilnie budują to nowe życie, w którym królować ma Pan Jezus. Budują je przede wszystkim w duszach własnych, swoich domowników, a nade wszystko w duszy swego dziecka.

JÓZEF ST. CZARNECKI

POLSKA I RUMUNIA

Wchodzimy w okres żywego pogłębiania stosunków polsko-rumuńskich. Pobyt ks. wojewody Michała w Warszawie, wizyta p. Prezydenta prof. I. Mościckiego w Bukareszcie, wreszcie rewizyta króla Karola II wraz ze swym synem — wszystko to tworzy cykl faktów, świadczących o bardzo wytężonej akcji na polu zbliżenia Polski z Rumunią. Oczywiście poza splendorem i zewnętrzną okazałością festynów i przyjęć, toczy się głębszy nurt rozmów dyplomatycznych, budujących trwałe podstawy współpracy obu krajów.

Horyzont tej współpracy, tak pięknie otwarty jeszcze pierwszą wizytą króla Ferdynanda i Królowej Marii, w r. 1923, oraz utrwalony przez wizyty Marszałka Piłsudskiego, nagle, zresztą przejściowo, zachmurzył się w okresie montowania przez min. Barthou paktu wschodniego.

Głównym sprawcą tego był min. Titulescu. Idąc na pasku międzynarodowej mafii, zmienił on nieprzejednane dotąd stanowisko Rumunii wobec Sowietów, których nawet de iure nie uznawano, przeciwnie pozostawiając pałac ambasady rosyjskiej w dyspozycji dawnego przedstawiciela Rosji carskiej, min Kozieł-Poklewskiego, nota bene Polaka.



Powitanie na dworcu w Warszawie.



Pan Prezydent Rzpltej przed frontem kompanii honorowej w Bukareszcie.

Jak dalece się stosunki zmieniły tego dowodem jest fakt, że „słynna" książka Szeby, będąca hymnem pochwalnym na rzecz Sowietów została właśnie napisana w Bukareszcie, a kiedy na koniec po burzliwej dyskusji parlamentarnej niefortunny, choć zresztą, działający na tajny rozkaz mafii, przedstawiciel Czechosłowacji musiał zrezygnować ze swego stanowiska i opuścić stolicę Rumunii, to na dworcu czule go żegnał poseł sowiecki, bodajże Owsiejenko.

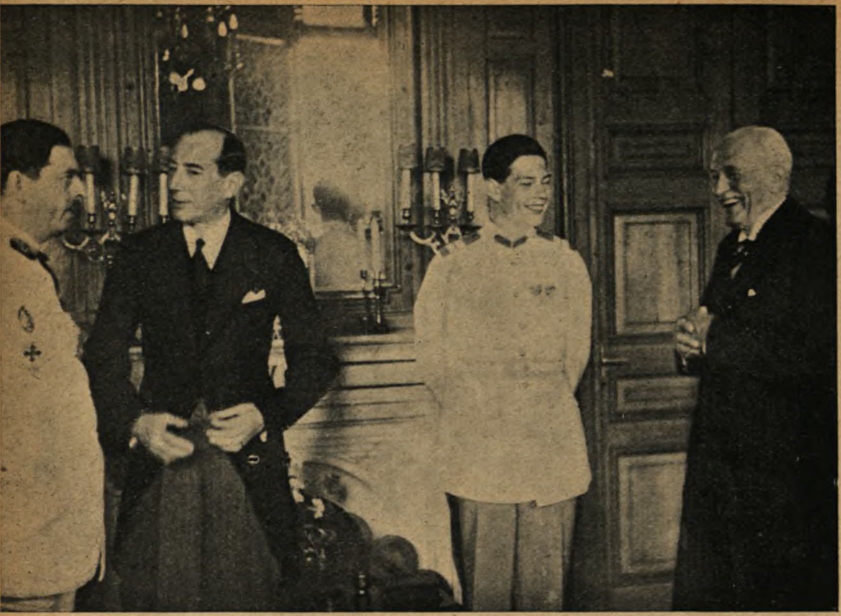
Lecz po tych incydentach sytuacja została opanowana i polityka rumuńska zwróciła się znów na tradycyjną drogę. Jakie są jej wytyczne?

Doskonale ujął je przed wielu laty poseł polski w Bukareszcie, Józef Wielowiejski, w wywiadzie udzielonym mi dla warszawskiego ‚Le Messager Polonais".

„Sytuacja geograficzna obu krajów — mówił min. Wielowiejski — wymaga od nich współpracy jak najściślejszej. Rumunia to kraj wielki, jednak nie mogący poprzestać li tylko na własnych siłach. Z drugiej znów strony w Polsce opinia jest zgodna co do tego, że istnienie naszego państwa winno się oprzeć przede wszystkim na wzmocnieniu węzłów z tymi sąsiadami, z którymi łączą nas liczne interesy polityczne, ekonomiczne, społeczne. Czyż może być rzecz bardziej naturalna od solidarnego współdziałania dwu państw, które liczą w sumie blisko 50 milionów obywateli, a rozciągają się od morza Bałtyckiego do morza Czarnego, i mo-

Złożenie wieńca na grobie Nieznanego Żołnierza w Bukareszcie.









gą korzystać dla komunikacji z Zachodu na Wschód z takiej rzeki, jak Dunaj; dwu państw wreszcie, które pielęgnują tradycję idealną komunikacji śródlądowej z południa na północ przez Jassy, Lwów do Gdańska. (Le Messager Polonais. Nr 119 (414) 30. V 1926).

W wywiadzie tym bardzo wyraźnie polski minister nakreślił głównie podstawy zwłaszcza ekonomicznego zbliżenia dwu naszych narodów, wskazując na wspólne utarte szlaki handlowe. Ale istnieje także pierwszorzędnej wagi problem polityczno-militarny, który nakazuje porozumienie się nasze. Oba kraje znajdują się w tzw. trójkącie niebezpieczeństwa między Niemcami i Rosją sowiecką, muszą więc szukać oparcia na wypadek konfliktu zbrojnego. Same sobie nie wystarczą, sojusz z Francją dla Polski, a nawet oparcie się o Małą Ententę dla Rumunii, nie rozwiązuje problemu. Francja jest daleko, dziś przy tym przeżerana jest przez komunizm, Mała Ententa, zmontowana głównie jako zabezpieczenie przeciw restauracji Austro-Węgier, w pozytywnym sensie na wiele się nie zda; wystarczy powiedzieć, że Czechosłowacja wyraźnie znalazła się pod wpływami Sowietów, które dla Rumunii przedstawiają gros niebezpieczeństwa. Czechosłowacja, jako kraj mały, narodowościowo rozbity, geopolitycznie przedstawiający kształt wprost niedorzeczny, zagrożona zewsząd, a najbardziej bodaj przez Niemcy (z uwagi na swą potężną mniejszość niemiecką), szukała zresztą zawsze oparcia na Wschodzie, w słowiańskim morzu rosyjskim, zgodnie z panlawistycznym programem tak genialnie zdefiniowanym przez Puszkina w zapowiedzi że „słowianskije ruczji soljutsia w ruskom morie". Do tego właśnie tęsknią podskórnie Czesi, przygniatani przez swój Minderwertigkeitskompleks kompleks słabości i przez żywiołową chęć szukania oparcia w rosyjskim kolosie, jeśli niekoniecznie ze strachu przed Niemcami, to z oszołomienia majakiem państwowej wielkości Rosji. Inaczej zupełnie Rumunia. Tą piastuje w swej duszy niezłomność dawnych kwirytów, twórców potęgi Romy, czuje w sobie namaszczenie do reprezentowania tradycji najbardziej na południo-wschód wysuniętego posterunku łacińskiego świata, podsyconą słowiańską fantazją, która wraz z przymieszką krwi w jej duszy działa.

W każdym bądź razie Rumunia nie ma zamiaru oddać się w tej czy innej formie na pastwę Moskwy, czy na wasala Niemiec. Jej skomplikowany tor polityczny dobrze bodaj wyraził jeden z konserwatywnych polityków rumuńskich, Piotr Carp mówiąc, że o tyle jest germanofilem, o ile jest nieprzejednanym wrogiem Rosji. Co prawda wbrew niemu i jemu podobnym politykom Rumunia opowiedziała się w r. 1914 za Wielką Ententą, a więc pośrednio i za Rosją. Rewolucja jednak w Rosji pozwoliła w następstwie poprowadzić politykę rumuńską po linii antyrosyjskiej.

Głównym reprezentantem tej antyrosyjsko-sowieckiej polityki jest król Karol II. Przechodząc z płaszczyzny zagadnień ogólnych na interesujące personalia zapoznajmy się z historią rodu, z którego pochodzi król rumuński, który przybył do nas jako gość Prezydenta Rzeczypospolitej, związany jest z Polską nie tylko węzłami sojuszu polsko-rumuńskiego, ale także i węzłami krwi.

Po kądzieli król Karol jest potomkiem jedenastu koronowanych królów polskich, z Bolesławem Chrobrym,

1) Na raucie w Bukareszcie.

2) Pan Prezydent przyjmuje defiladę w Bukareszcie.

3) Fragment defilady w Warszawie.

Władysławem Łokietkiem, Władysławem Jagiełło, Kazimierzem Jagiellończykiem i Zygmuntem Starym na czele.

Wszyscy ci królowie, jak i wielu naszych książąt dzielnicowych, są przodkami obecnego króla rumuńskiego przez synów i córki Kazimierza Jagiellończyka i Elżbiety austriackiej.

Potomkowie dynastii jagiellońskiej złączyli krew piastowską z krwią licznych dynastii niemieckich, wiadomo zaś, że król Karol pochodzi z rodziny Hohenzollernów. Najciekawsze jest jednak w genealogii króla Karola, że z krwią narodu, nad którym panuje, z krwią rumuńską, łączy go pokrewieństwo ze Stanisławem Leszczyńskim.

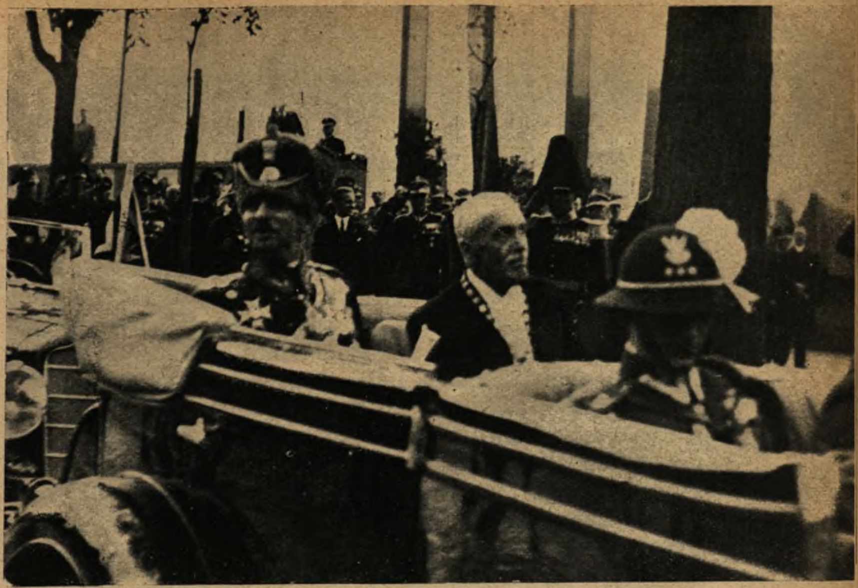
Prababka króla Stanisława Leszczyńskiego, Anna z Potockich Kazanowska, była córką hospodarówny mołdawskiej. Hospodar Mołdawii, Jeremi Mohiła, żyjący na przełomie XVI i XVII wieku, pozostawał w bliskich stosunkach z magnatami polskimi, którzy nieraz wspomagali go w wyprawach swymi prywatnymi wojskami. W historii polskiej pamiętne są owe eskapady naszych kresowych „książąt" na Wołoszczyznę. Kilku panów polskich zaślubiło córki Mohiły, a m. in. właśnie Kazanowski ożenił się z Marią Mohilanką. Ponieważ król Karol ma w swych żyłach krew Stanisława Leszczyńskiego i Marii Leszczyńskiej, tym samym ma również kroplę rumuńskiej krwi Jeremiego Mohiły. Poza tym spokrewniony jest król z licznymi rodzinami polskimi, jak Sanguszkowie, Chodkiewicze, Tarnowscy, Potoccy, Jabłonowscy, po przez liczne związki Marii Leszczyńskiej z ówczesnymi rodami arystokratycznymi.

Król Karol II objął tron w warunkach dość dramatycznych. Na tle miłosnym zmuszony przez ojca do wyrzeczenia się tronu, po paru latach obserwacji rządu regencji, zastępującej nieletniego jego syna, wielkiego wojewodę Michała, zdecydował się na nielegalny powrót. Udał się o on o wiele lepiej niż powrót arcyksięcia Karola Habsburga na Węgry.

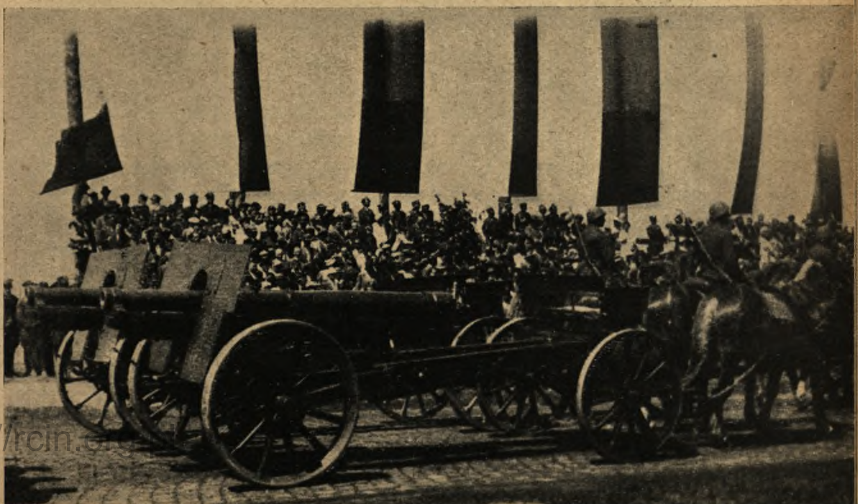
Powrót króla Karola staje się punktem zwrotnym w polityce rumuńskiej. Nowy król okazał się zdolnym do chwycenia władzy silną ręką i opanowania anarchii poczynającej się wkradać do państwa. A stosunki pod niejednym względem przedstawiały wiele do życzenia. W kraju hulała dywersja i linie komunikacyjne były np. stale zagrożone. Pamiętam w czasie mej podróży w maju r. 1926, jak ze zdumieniem oglądałem wzdłuż toru gęsto rozstawione posterunki wojskowe, strzegące pociągi przed zamachami bombowymi, które wtedy się zdarzały. To były rzeczy już bardzo jaskrawe, nie mniej jaskrawe było to co się działo na terenie parlamentarnym. Wybory rumuńskie miały zupełnie ustaloną sławę akcji politycznej, regulowanej nie tylko wolę wyborcy, lecz przez żandarmerię. Stąd różne niespodzianki, które, jak się przekonałem z własnego doświadczenia, potrafiły wprawić w zakłopotanie nawet wytrawnych dyplomatów.

Ten stan rzeczy wymagał opanowania przez jakiś nadrzędny czynnik. Czy jego rolę mogła spełniać wielo osobowa regencja?

Stało się więc dobrze, że wziął ją na siebie król Karol. Niewątpliwie wprowadził on do życia swej ojczyzny czynnik stałości, powagi i ładu, którego tak bardzo trzeba każdemu państwu w dzisiejszych trudnych czasach.







1) W drodze do Zamku Królewskiego w Warszawie.
2) Powitanie P. Prezydenta Mościckiego w Bukareszcie.
3) Defilada przed królem Karolem II w Warszawie.

KS. PROF. DR J. PASTUSZKA

BERGSONIZM A FILOZOFIA KATOLICKA

Bergson należy do tych nielicznych współczesnych filozofów, którzy zagadnienia religijne uczynili ośrodkiem swych zainteresowań umysłowych. Godne podkreślenia, że w dobie szerzącego się teoretycznego, a jeszcze więcej praktycznego ateizmu, gdy myśl filozoficzna zajęła wobec religii stanowisko wrogie, albo przynajmniej usiłowała je zepchnąć w sferę uczucia, niedostępnego dla badań naukowych, w czasie, gdy tyle kierunków filozoficznych głosiło moralność laicką i „religię bez Boga", myśliciel tej miary, co Bergson nie waha się uznać religię za najwyższy i najszlachetniejszy przejaw życia duchowego, a ludzi religijnych nazywa właściwymi przewodnikami i dobroczyńcami ludzkości.

Gloryfikując religię, Bergson nie tworzy własnego nowego systemu religijnego, ale wskazuje na chrześcijaństwo jako na idealny, doskonały typ religji. Nie waha się twierdzić, że jedynie chrześcijaństwo daje wystarczającą odpowiedź na niepokojące zagadki życiowe, że święci chrześcijańscy przedstawiają najwyższy typ rozwoju duchowego człowieka, że oni prowadzą nadal dzieło Boże i ludzkość dopiero wtedy dojdzie do równowagi i znajdzie się na pewnej drodze, jeżeli nauczy się zapomnieć o sobie, a zwróci się ku niebu, skąd będzie oczekiwała pomocy.

Religijne poglądy Bergsona, zawarte w słynnym jego dziele: „Les deux sources de la morale et de la religion", zawierają w sobie wiele pierwiastków, zgodnych z ideologią chrześcijańską.

Bóg w ujęciu bergsonowskim nie jest fikcją, ani wrodzoną kategorią myślenia, nie posiada swego źródła jedynie w uczuciach, czy aktach woli, nie jest wytworem czysto psychologicznym, jakby środkiem zaradczym na nurtującą człowieka niewystarczalność, tęsknotę i potrzebę szczęścia. ale przedstawia się jako rzeczywistość przedmiotowa, źródło wszechbytu, cel naszego życia i przedmiot miłości.

Skoro Bóg jest przyczyną wszechrzeczy i najwyższym dobrem, to obowiązek religijny winien zajmować naczelne miejsce wśród innych obowiązków życiowych człowieka.

Toteż do przejawów życia religijnego odnosi się Bergson z sympatią i szacunkiem. Uważa je za najwyższy przejaw życia, a mistyków i świętych — za głosicieli najwznioślejszych ideałów i współtwórców ludzkości. Dawno już w filozofii świeckiej nie rozbrzmiewały takie pochwały na cześć religii.

Na podkreślenie zasługuje również bergsonowski realizm poznawczy. W poznaniu religijnym opiera się Bergson przede wszystkim na doświadczeniu. Odrzuca zarówno wrodzone pojęcia religijne, jak i sztuczne hipotezy o tzw. odrębnej umysłowości ludów pierwotnych. Rozpowszechnione we Francji od czasów Durkheima teorie socjologiczne, tłumaczące powstanie religii niskim poziomem kulturalnym człowieka pierwotnego i spychające wierzenia religijne do rzędu bajek i mitów, znalazły w Bergsonie zdecydowanego przeciwnika. Religia ugruntowana jest w strukturze człowieka w tym znaczeniu, że jego postawa wobec świata i życia nie jest wolna od akcentów religijnych. Każdy człowiek, bez względu na jego stopień rozwoju kulturalnego, musi się ustosunkować wobec absolutu.

Ten realizm poznawczy uchronił Bergsona przed skrajnym racjonalizmem. który w dziedzinie religijnej wyrządził duże szkody. Datujący się od czasu Oświecenia nadmierny kult rozumu wywołał pomieszanie pojęć. Od rozumu ludzkiego oczekiwano nie tylko rozwiązania zagadek, jakie nasuwa rzeczywistość, ale radykalnej zmiany w układzie stosunków życiowych — nowej moralności, nowej religii i sprowadzenia na ziemię wymarzonego okresu złotego. Co się nie dało ująć w formuły matematyczne, czego nie można było pojęciowo wyczerpać, ani sprowadzić do zjawisk empirycznych, to było odrzucane, jako nienaukowe.

Jest zasługą Bergsona, że podkopał podstawy racjonalizmu, wykazując, że rzeczywistość materialna, a zwłaszcza życie, kryje w sobie więcej, niż ich pojęcia, że każdy wolny czyn ludzki jest aktem niesłychanie skomplikowanym, trudnym do pojęciowego, a tym bardziej obrazowego oddania, że w każdym czuciu, np. w ujęciu barwy jest coś więcej, niż ruch elektronów, że nawet rzeczywistość empiryczna nie jest łatwa do rozumowego opanowania. Tym bardziej życie moralne i religijne!

Nieskończoność nie da się wyczerpać ani wszechstronnie wyrazić w formułach pojęciowych. Tym bardziej nadprzyrodzona łaska Boża. Będzie się zawsze przelewała poza te ciasne formy, jakie dla niej rozum obiera. Tajemnice nigdy nie zostaną w pełni rozwiązane, ani nie dadzą się ująć w formuły matematyczne. Toteż istnienie pierwiastków irracjonalnych w religii nie jest kwestionowane w filozofii katolickiej.

Nie można też nie podkreślić bergsonowskiego pojęcia Boga jako miłości. Bóg nie jest pojęciem abstrakcyjnym, ale najwyższym dobrem, nieustającą twórczą miłością, tak ściśle zespoloną z człowiekiem, że wszystko, co mamy w sobie szlachetnego i wzniosłego wywodzi się z tego związku.

Bergson wskazuje na powiązanie zjawisk empirycznych z ich praźródłem, wszędzie wyczuwa pulsowanie prądu metafizycznego i dopatruje się przejawów miłości Bożej.

Na uznanie zasługują również inne punkty filozofii bergsonowskiej — idea człowieka, na którym ciąży obowiązek udoskonalania, etyka bohaterstwa, optymizm życiowy, filozofia pracy itd.

Nie można jednak zamykać oczu na pewne strony światopoglądu Bergsona, które nasuwają zasadnicze zastrzeżenia.

Jego system zbudowany jest na założeniach antyintelektualizmu. Głosi on, że rozum ograniczony jest do ujmowania materii i dlatego wykazuje dążność do unieruchomienia tego, co jest w ruchu, do kawałkowania całości, do materializacji przejawów życiowych, słowem, do zniekształcenia rzeczywistości. Wszelkie zjawiska życiowe, tak różne od materii, pozostają dlań niezrozumiałe.

Również Boga nie poznajemy rozumowo, lecz intuicyjnie, mistycznie. Między religią, a rozumem zachodzą przeciwieństwa. Religia jest wykwitem życia, głosi nakaz miłości i poświęcenia, a rozum godzi w życie, podsuwa pobudki egoistyczne i zdąża jedynie do uprzyjemnienia życia.

Usunięcie pierwiastków intelektualnych z życia spycha je na niepewne tory uczucia, a aktom religijnym odbiera wartość wolnych czynów duchowych. Pojęcie intuicji, mającej zastąpić rozum, jest niejasne i właściwie niema miejsca w procesie poznawczym. Czy można

przypuścić, by przejawy religijne, uważane przez Bergsona za najwyzszy stopień życia, były wyzbyte pierwiastków intelektualnych, które bądź co bądź odgrywają w życiu rolę kierowniczą?

Analiza aktów religijnych wykazuje, że elementy poznawcze, a zwłaszcza intelektualne, występują w nich wydatnie, że wyprzedzają wszystkie inne i odgrywają rolę kierowniczą.

Nieuzasadnione jest również oddzielenie religii statycznej od dynamicznej.

Religia statyczna sprowadza się — w ujęciu Bergsona — do pewnej liczby sztucznych nakazów społecznych, które ograniczając szkodliwą działalność, stają w obronie życia.

Ale człowiek jest istotą religijną nie tylko jako członek społeczności, ale dlatego, że jest bytem rozumnym, który, usiłując wytłumaczyć rzeczywistość i ustalić wobec niej swój stosunek, dochodzi do uznania Boga, jako pierwszej przyczyny i najwyższego dobra. Momenty społeczne zaznaczają się w przeżyciach religijnych, ale nie stanowią ich istoty, ani tym bardziej nie mogą być uważane za przyczynę religii.

Nadto instytucje społeczne mają charakter racjonalny. Skoro religia jest obroną przed rozumem, to czyż tego rodzaju funkcję ochronną może pełnić społeczność, która przecież sama jest dziełem rozumu? Jest to jakby paraliżowanie działalności rozumowej przez ten sam rozum, który spełnia dwie wzajemnie wykluczające się czynności — co jedną ręką buduje, to drugą niszczy.

Przeciwstawiając religię statyczną dynamicznej, należało by wielu przejawom uważanym powszechnie za religijne, lub z religią najściślej związane, odmówić charakteru religijnego. Jaką wobec tego wartość posiadają zewnętrzne urządzenia religijne, jak Kościół, sakramenta święte, formy liturgiczne itp. Czy nie są one sztucznymi ograniczeniami, które należy tolerować, jako malum necessarium, ale które raczej szkodzą, a nie pomagają życiu religijnemu. W jakim stosunku stoją one do religii dynamicznej, czyli do przeżyć mistycznych?

Mistycyzm, stanowiący właściwą treść religii dynamicznej, znalazł w Bergsonie wielkiego entuzjastę, ale nieścisłego i niedokładnego interpretatora. Jest to interpretacja naturalistyczna zjawisk, których duszą jest życie nadprzyrodzone. Mistycy chrześcijańscy zgodnie twierdzą, że ich przeżycia religijne (wizje, radość religijna, czyny ofiarne i t. p.) nie są rezultatem ich osobistej pracy, lecz darem nadprzyrodzonym i niezasłużoną łaską, że świat łaski nie jest pogłębieniem, czy spotęgowaniem naturalnych uzdolnień, lecz rzeczywistością całkiem inną, która wywodzi się z zasług Jezusa Chrystusa. Mieli oni żywą świadomość wspólnoty z ciałem mistycznym Chrystusa, to jest z Kościołem, łączność tę podtrzymywali, żyli w obrębie Kościoła i jak najszerzej korzystali z jego pomocy nadprzyrodzonych.

To wszystko zostało niedocenione, podobnie jak pominięte zostały przez Bergsona rzeczy najściślej związane z życiem religijnym jednostki, jak boskość Chrystusa, objawienie, Kościół, sakramenta itp. W oderwaniu od nich problem mistycyzmu nie da się rozwiązać.

Dodajmy, że przeżycia mistyczne nie miały charakteru irracjonalnego, jak chce Bergson, ponieważ pierwiastki poznawcze, intelektualne występują w nich całkiem wyraźnie.

Utożsamianie religii dynamicznej z mistycyzmem nasuwa niepokojące pytanie, dlaczego prawdziwa religia jest udziałem tylko nielicznych jednostek? Czyż inni ludzie nie mają obowiązków religijnych i jaki jest ich stosunek do ideałów, głoszonych przez mistyków? Religia nie jest wówczas funkcją ogólnoludzką, ale przeżyciem wyjątkowym, dostępnym tylko dla jednostek uprzywilejowanych. Miałaby charakter czysto wewnętrzny, osobisty, i byłaby uniezależniona od wszelkich instytucyj religijnych (Kościół).

Tylko pojęcie religii nie tylko nie znajduje potwierdzenia w religijnej dynamice chrześcijanstwa, ale sprzeczne jest z ogólnym poglądem i z praktyką życia religijnego wogóle.

Co więcej, idea Boga, jaką Bergson wydedukował z analizy przeżyć mistycznych, nasuwa wątpliwości filozoficzne i teologiczne.

Idea Boga, jaką posiada człowiek religijny, nie różni się zasadniczo od idei filozoficznej. Zapewne, że metafizyczne właściwości natury Bożej nie występują w niej wyraźnie, że brak jest tam uświadomienia genezy tej idei, i nie towarzyszy jej zawiła problematyka religijna, ale istotne momenty idei Boga pozostają niezmienione. Filozofia rozwija i uzasadnia te pojęcia, jakie posiada o Bogu człowiek niewykształcony, który drogą refleksji doszedł do uznania Boga. Metody poznawcze są jednakowe — różnią się jedynie stopniem doskonałości. Zapewne, że „Bóg arystotelesowski", o jakim wspomina Bergson, odbiega od idei Boga, jaką posiada człowiek religijny, ponieważ jest pojęciem sztucznym, wziętym nie z życia, ale wydedukowanym z pojęć. Brak mu zasadniczej cechy — bezpośredniego, bliskiego stosunku, jaki zachodzi pomiędzy Bogiem a człowiekiem. Ale też taka idea stanowi wyjątek i nie można jej uogólniać. Zazwyczaj rozum dochodzi do innych rezultatów.

Nie można więc kopać przepaści pomiędzy „Bogiem filozoficznym", do którego dochodzimy, a Bogiem, w którego człowiek wierzy. Pomiędzy nimi zachodzi różnica stopnia, a nie różnica natury. Dowody istnienia Boga nie konstruują nowej sztucznej, czysto myślowej rzeczywistości, ale podają metodyczne, ściśle filozoficzne uzasadnienie tej drogi poznawczej, jaką przechodzi myśl religijna każdego człowieka. A droga prowadzi nie przez intuicję, czy uczucie, lecz przez rozum.

W religijnej idei Boga występuje bardzo wyraźnie Jego osobowość, czego nie można powiedzieć o Bogu, jakiego konstruuje Bergson. Pojęcie osoby jest tam niedokładne i mało zaakcentowane. Mowa jest wprawdzie o miłości, jako o najważniejszym atrybucie Boga, ale nie wiemy, czy miłość ta nie jest raczej jakąś wszech ogarniającą siłą, którą można by panteistycznie tłumaczyć.

Wszak miłość nie jest przymiotem, czynem Bożym, ale samym Bogiem. Jej działanie jest tak przedstawione, że niekiedy zatraca się transcendencja Boga. Wysunięcie imanentyzmu religijnego na pierwszy plan zbliża Bergsona do modernizmu, podobnie jak odrzucenie poznania rozumnego Boga, doszukiwanie się źródeł religijności w uczuciach, w miłości i w intuicji przypomina poglądy protestanckie.

Mimo pewnych punktów stycznych, jakie istnieją między ideologją katolicką, a bergsonizmem, nie można mówić o ich tożsamości, czy zbliżeniu ideowym. Inna jest ocena władz poznawczych, odmienne wartościowanie rzeczywistości i różna postawa wobec religii. Problematyki religijnej bergsonizm nie rozwiązuje. Zasługuje jednak na uznanie, jako próba nowego, oryginalnego oświetlenia zagadnień religijnych i jako twórczy wysiłek myśli filozoficznej dotarcia do prawdy — od strony życia religijnego człowieka. Bergson nie tłumaczy wprawdzie wystarczająco istoty religji, ale uczy ją szanować i każe podziwiać.

DR M. SKRUDLIK

PIĘKNO STAREJ WARSZAWY

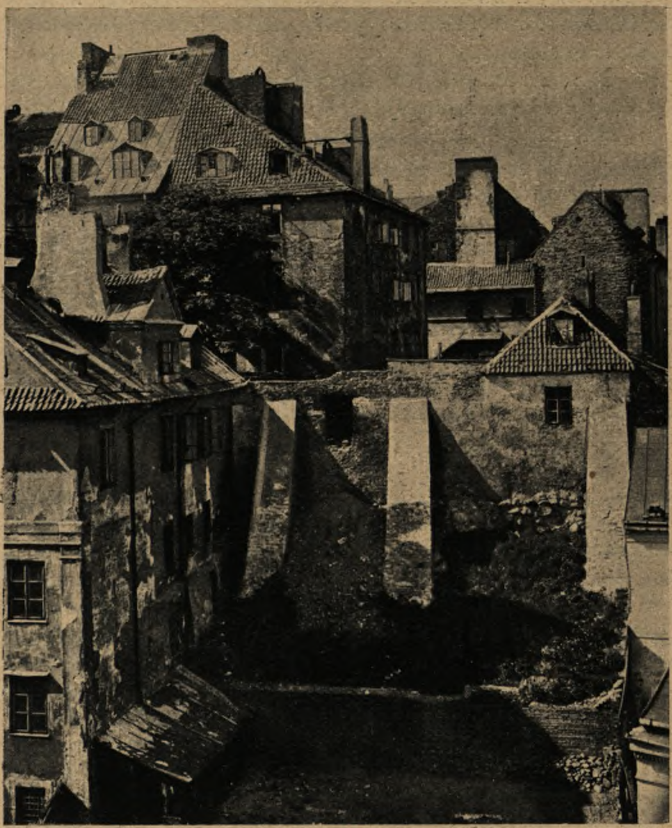
Stara Warszawa jest niewątpliwie zaniedbana, gdy jednakże chodzi o charakter zabytkowy miasta, o jego zachowanie, to dawne dzielnice obecnej stolicy Polski przewyższają o wiele nawet stary Kraków.

Złożyło się na to wiele przyczyn, zwłaszcza ekscentryczne dążności starej Warszawy.

Kraków po wojnie prusko-austriackiej został przemieniony na twierdzę o krótkim promieniu i wąskim obobwodzie. Fakt ten zadecydował o losach miasta.

Otoczony wałami i fortami, ścieśniony zewsząd, Kraków musiał się rozwijać jedynie w obrębie linii fortyfikacyjnej, gdyż stawianie domów poza tą linią było zakazane. Ludność miasta wzrastała gwałtownie, powiększały się jej potrzeby, miejsca jednakże było skąpo. Pod naporem tych konieczności zaczęto burzyć zabytkowe domy, nawet kościoły i pałace — aby uzyskać place dla rozbudowy miasta. Ten stan rzeczy, który trwał aż do upadku Austrii, odbił się fatalnie na zabytkowym stanie Krakowa.

Tymczasem Warszawa radziła sobie zawsze z brakiem miejsca. Gdy w średniowieczu było jej za ciasno w



Fragment murów obronnych od ulicy Brzozowej.



Kościół św. Kazimierza P. P. Sakramentek na Nowym Mieście.



Narożnik Starego Miasta (rynku).



Kryty chodnik broni. Fragment dawnych murów obronnych przy ulicy Podwale.

obrębie murów obronnych, ludność poczęła lokować się poza linią fortyfikacyjną, na zachód od Starego Miasta i w ten sposób powstało Nowe Miasto, najstarsze przedmieście Warszawy. Te ekscentryczne dążenia i zdolności miasta uzewnętrzniły się zwłaszcza w XVII stuleciu, kiedy to przeniesienie stolicy państwa z Krakowa do Warszawy narzuciło dawnemu grodowi mazowieckiemu konieczność szybkiego rozwoju i dostosowania się do nowych zadań i potrzeb stolicy wielkiego państwa.

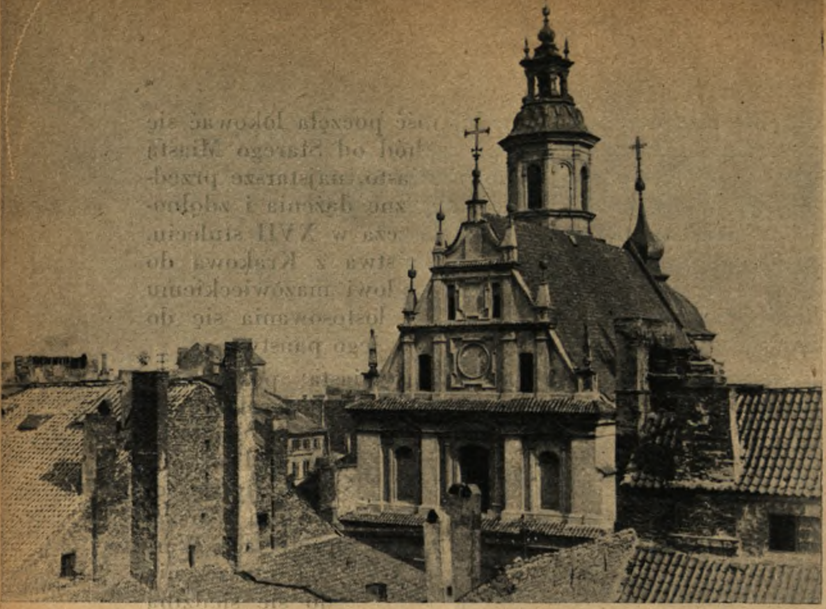
Już za Zygmunta III, centrum miasta poczęło się przesuwać poza mury obronne, w kierunku Krakowskiego Przedmieścia, które przeistoczyło się w dzielnicę szlachecką, w dzielnicę pałaców, dworów i dworków. W czasach późniejszych, nowe dzielnice oddalały się coraz więcej od Starego Miasta i w rezultacie stara Warszawa znalazła się na uboczu, niemal na peryferiach Warszawy nowej. Ten stan rzeczy wpłynął na opuszczenie i zaniedbanie Starego Miasta, które stało się siedzibą najbiedniejszej ludności; te same jednak przyczyny zadecydowały o nienaruszalności dawnego, zabytkowego



Ulica Kamienne Schodki.



Fragment murów obronnych przy ulicy Mostowej.



Szczyt kościoła Najśw. Maryi Panny Łaskawej.



Resztki murów obronnych przy ulicy Mostowej.

Fragment ulicy Brzozowej.





Dom pod Okrętem przy ulicy Świętojańskiej.



Tyły kościoła pobernardyńskiego św. Anny i ulica Źródlana.



Fragment domu ks. Piotra Skargi.



Ulica Piwna zamknięta domami Wąskiego Dunaju.



Kaplica dawnego szpitala św. Łazarza przy ulicy Mostowej.



Skarpy domu ks. Piotra Skargi.

Skarpy domów przy ulicy Brzozowej.



charakteru miasta. Ubodzy mieszkańcy starych dzielnic nie dążyli do zmian i modernizacji, raczej na swój sposób konserwowali to, co pozostawiła przeszłość.

Dzięki temu, dzisiaj, Stara Warszawa nie wiele się różni od Warszawy z czasów Sobieskiego czy Sasów.

Warszawa średniowieczna otoczona była podwójnym pierścieniem murów obronnych, które biegły od dzisiejszego Placu Zamkowego przez ulicę Podwale, następnie zataczały krąg ku Krzywemu Kołu, a dalej wznosiły się poniżej ulicy Brzozowej, aż wreszcie spadały do ulicy Mostowej. Fragmenty tych murów zachowały się przy ulicy Podwale, Brzozowej i Mostowej.

Szybki rozrost miasta w XVII wieku oraz nieprzestrzeganie tak zwanego prawa regionowego, regulującego odległość domów od murów obronnych spowodowały, że domy przystawiano do murów obwodowych rychło je zasłoniły i pochłonęły. Stąd też dzisiaj resztek tych murów szukać trzeba przeważnie po podwórzach domów (np. przy ulicy Podwale i Brzozowej).

Aż do połowy XVII stulecia, to jest do najazdu szwedzkiego, Warszawa była gotycka. Straszliwe zniszczenie miasta w czasie okupacji szwedzkiej i oblężenia polskiego zatarło gotycki charakter stolicy. Miasto odbudowywało się już w nowym stylu barokowym, który



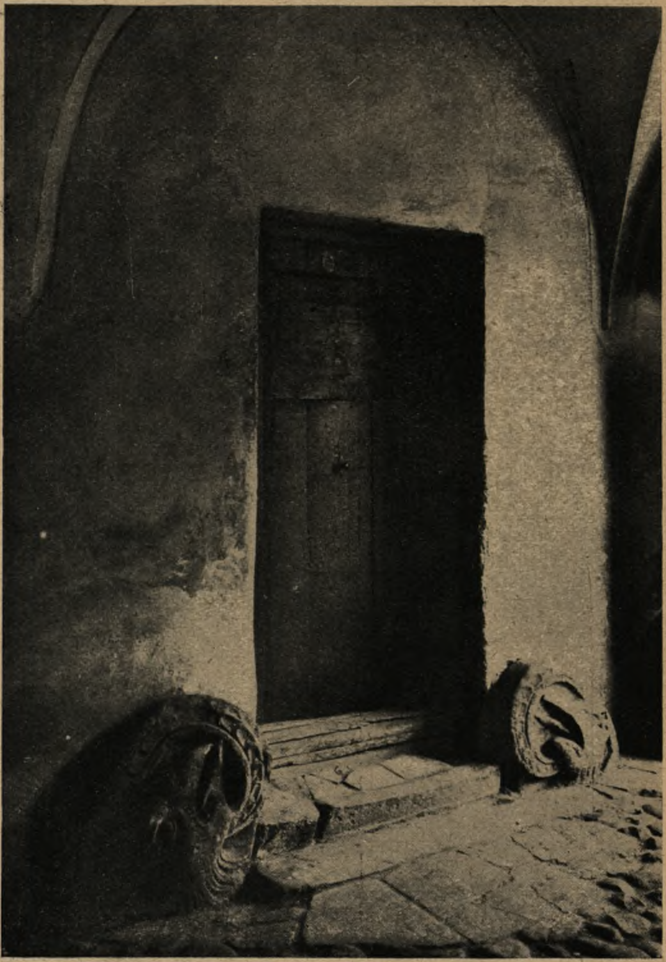
Dachy Starego Miasta. W głębi szczyty kościoła Najśw. Maryi Panny Łaskawej i katedry.

Stary dom na tyłach klasztoru P.P. Sakramentek.





Motyw z ulicy Brzozowej. Barokowa kamienica.



Stara sień przy ulicy Mostowej.



Dom Ks. Piotra Skargi od ulicy Brzozowej.

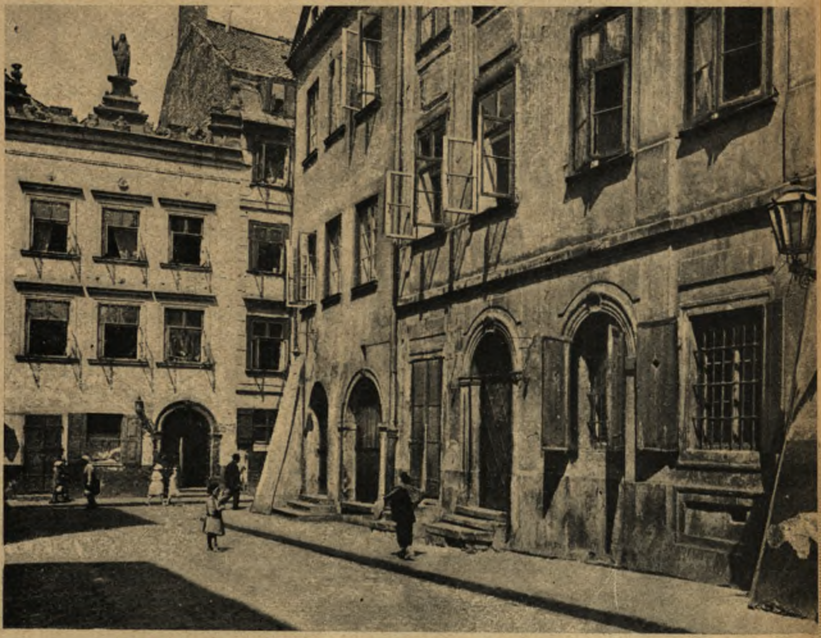
po dzień dzisiejszy przeważa w architekturze kościołów i domów prywatnych Starej Warszawy.

Zasadniczy zrąb domów pozostał jednak w wielu wypadkach gotycki i przeprowadzone w ostatnich latach restauracje odkryły wiele szczegółów konstrukcyjnych i dekoracyjnych o charakterze gotyckim.

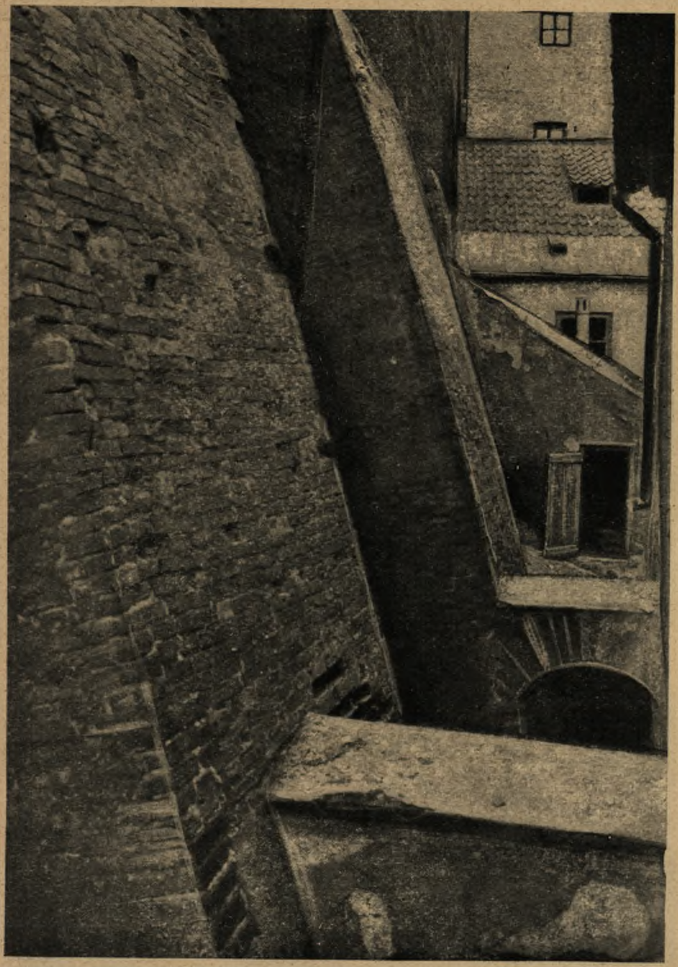
Tak znamienne dla domów Starego Miasta, skarpy, wzmacniające mury i sklepienia, sięgają czasów gotyckich. Skarpy kamienic przy ulicy Podwale i Brzozowej zwracają szczególnie uwagę swą masywnością. Równie charakterystyczną właściwością domów Starego Miasta są tak zwane attyki to jest ślepe mury koronujące szczyty domów. Attyki zasłaniały dachy i zabezpieczały je od pożarów. Ozdobne formy attyk podnosiły piękno ich frontów.

Jak wszystkie miasta średniowieczne, zamknięte w obrębie murów obronnych, tak i Warszawa cierpiała na brak miejsca, stąd plan miasta wykazuje tylko jeden plac większy, mianowicie rynek. Ulice natomiast są wąskie. Szerokość pewnych ulic, jak np. Rycerskiej była tak ograniczona, że przeznaczone one były wyłącznie do ruchu pieszego.

Stoki wzniesienia, na którym osiadło miasto, opadają stromo ku Wiśle, stąd okazała się potrzeba złączenia

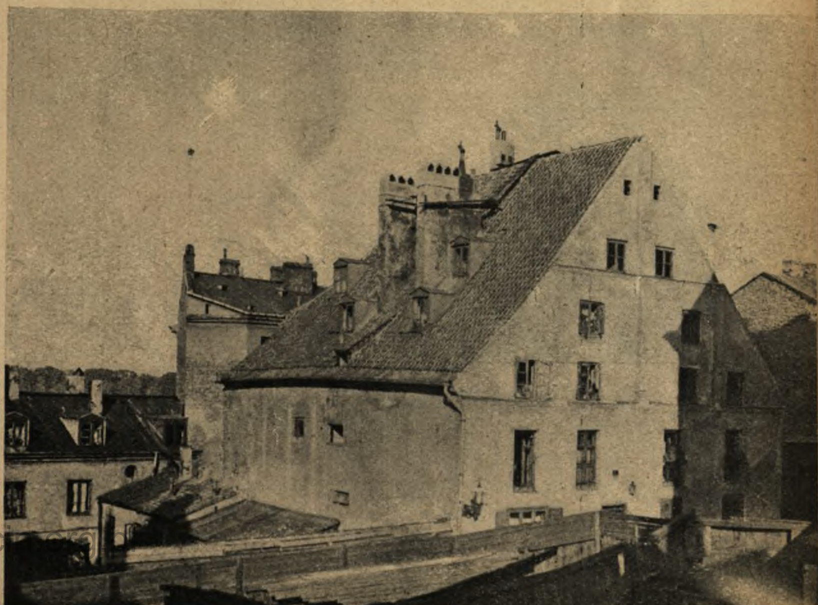


Narożnik ulicy Piwnej i Wąskiego Dunaju.



Skarpy murów obronnych przy ulicy Mostowej.

Szczyt barokowego domu przy ulicy Mostowej.





Fragment ulicy Brzozowej.



Kościół Najśw. Maryi Panny Łaskawej; obecnie o.o. Jezuitów, dawniej Pijarów.

wyżej położonych placyków i ulic ze spadzistością i jej podnóżem za pomocą kamiennych schodów (ulica Kamienne Schodki). Te właśnie nierówności gruntu łącznie z krzywiznami ulic i placyków (np. Kanonia) stwarzają ów pełen uroku i niespodzianek brak symetrii, stawiający zwiedzającego wobec coraz nowych niespodzianek, tajemniczych zakątków i zakamarków, pełnych ciszy, skupienia, do których nie dochodzi gwar współczesnego życia.

Stara Warszawa jest jedną z najbardziej zaniedbanych dzielnic stolicy. Obecnie Zarząd miasta kładzie duży nacisk na uporządkowanie Starej Warszawy i utrzymanie jej zabytkowego charakteru. Nie jest to zadanie łatwe. Na przeszkodzie stoi przede wszystkim przeludnienie tej dzielnicy i jej ubóstwo. Jedynie odpływ ludności do nowych dzielnic może wytworzyć odpowiednie warunki sprzyjające nowoczesnej konserwacji. Dzisiaj — każdy nieledwie dom Starej Warszawy wymaga gruntownej i umiejętnej restauracji.

Racjonalna restauracja odsłoni niewątpliwie szereg nowych szczegółów i wydobędzie dawny charakter Starego Miasta.



Jeden z samolotów komunikacyjnych polskich linii lotniczych „Lot". Obszerna kabina pasażerska zawiera 10—14 wygodnych foteli. Specjalne urządzenia zapewniają dobrą wentylację, stałą temperaturę i zupełną ciszę. Za kabiną znajduje się osobny przedział na bagaż i pocztę.



JÓZEF BIRKENMAJER (dokończenie).

PISKOLEK

Lato przemijało zwolna — już nie było takich upałów jak przedtem. Chłopcy odganiali od siebie myśl o tym, że zbliża się już koniec wakacji. Musieliby jednocześnie myśleć i o tym, że nie ukończyli budowy basenu, że nie złowili zapowiedzianej kopy ryb, ani upatrzonego jelonka-rogacza, ani pazia królowej. Woleli myśleć o tym, co było im teraz najbliższe: o Piskolku, który już wyrósł w dużą jaskółkę, a zatem potrzebował zdwojonych racji żywnościowych i baczniejszej opieki. Baczność ta miała uzasadnienie w dwóch przyczynach: oto we wsi podobno znów począł grasować srogi Kot Dzikawy, któremu snać trudniej było o zdobycz w lesie, gdy małe ptaszki nauczyły się latać, a niektóre nawet zabierały się do odlotu. Po wtóre Piskolek stawał się teraz jakiś inny. Wprawdzie po dawnemu wesoło witał każdego z chłopaków — wobec Tadzia tylko zachowując pewną ostrożność — ale gdy został sam, siadywał smutnie na brzegu gniazdka, wpatrywał się w coś dalekiego za oknem, jakby stamtąd znaku jakiegoś oczekując — a od czasu do czasu wyłaził na wierzch i pomachiwał po kilkakroć skrzydełkami nieśmiało i niesprawnie, poczem jakby w zawstydzeniu czy lęku kładł je z powrotem po sobie, znów pozierał tęskno w dal poza oknem... a na koniec krył się do gniazdka i już nie wysuwał się z niego przez czas dłuższy.

Dydak, który zaczął od pewnego czasu przyglądać się obyczajom jaskółek gnieżdżących się pod strychem kościelnym, domyślał się po trosze przyczyny niepokojów Piskolka.

— Piskolek chce latać — oznajmił braciom.

— Niech lata, kiedy chce — zezwolił Robert. — Od czegóż mu skrzydła urosły?

— Tak, ale kto go nauczy latać?

— A sam się nauczyć nie może?

— Nie wiem... Widziałem pod kościołem, jak stare jaskółki przyuczały swe młode do lotu. Te młode już wcale dobrze latają, a nasz Piskolek jeszcze nie potrafi.

— Zdaje się, że ma trochę skrzydła nadwyrężone upadkiem z gniazda u Piegżyny... Ale może się mylę...

— Może to lepiej, że nie umie latać — wtrącił się do rozmowy Witek. — Nie odleci od nas jesienią...

— Wróciłby na pewno z wiosną — zauważył Robert. — W zimie nas tu nie będzie... a brać go do miasta... Nie wiedzieli, jak tę sprawę rozstrzygnąć, więc urwała się rozmowa. Skorzystał z tego Tadzio, by wtrącić dręczące go już przedtem zapytanie:

— A dlaczego mnie skrzydełka do latania nie urosły?

— Bo jesteś człowiek — odpowiedział mu krótko Robert.

— Ja nie jestem człowiek, ja jestem Tadzio! — wybuchnął oburzeniem malec.

Oburzenie było uzasadnione. „Człowieku" mówiono tylko ludziom starszym, którzy z dalekich stron przyjeżdżali furmankami i których nikt nie znał z imienia i nazwiska. O nim zaś przecie wiadomo było, że jest chłopcem i nazywa się Tadzio.

— A dlaczego Piskolek ma skrzydła i nie lata? — zapytał po chwili.

— Bo się nie nauczył — odpowiedział Witek wymijająco.

— J a b y go n a u c z y ł e m, gdyby u m i a ł e m! — z mocą i przekonaniem zapewnił Tadzio. — I J a b y się n a u c z y ł e m, gdyby m i a ł e m skrzydła!

To rzekłszy, poszedł do pokoju, stanął naprzeciw gniazdka Piskolka i począł szczebiotać ku niemu dziecięcym swym głosikiem:

— Piskolku! Piskoleczku! Naucz się latać! Przyleć tu do mnie, bo jesteś wysoko, a ja jestem malutki i nie umiem wyleźć na okno. Przyleć do mnie i będziemy się bawić ze sobą!

Piskolek rozpiął skrzydełka — jakby ramiona, które chcą się rzucić w objęcia przyjaciela — główkę w dół pochylił, zawahał się chwilkę, ćwierknął coś niewyraźnie i jednym ruchem spłynął w dół z gniazdka. Nie umiał jednak obliczyć dalekości swego lotu, więc tuż za gniazdkiem stracił równowagę i runął na parapet okienny.

Podniósł go Witek, który wbiegł na wołania Tadzia, i włożył ptaszynę z powrotem do gniazdka. Odtąd przez dni kilka Piskolek leżał spokojnie na swym posłaniu z waty, smucąc się smutną pogodą, przesłaniającą mu słońce. Już nawet świtu rannego nie oznajmiał, bo nie wiedział kiedy ma oznajmiać. Tylko w dzień szczebiotał sobie czasem — krótko, urywanie, jakby się czegoś lękał, to znów jakby o coś pytał, na co nikt nie umiał mu dać odpowiedzi. Bo i któż z takich półsłówek potrafi się domyślić, o co chodzi?

Ale i sam Piskolek nie wiedział, jakie ma zadać pytanie. W tej małej ptasiej główce działy się dziwne rzeczy, które tylko w ptasim gronie zrozumiałymi stać by się mogły. Ciągnęło go w jakąś dal, której nie znał i o której nikt nigdy mu nie mówił... bo rodziców prawie nie pamiętał i niewiele mu danem było z nimi gwarzyć, wszak stracił ich tak wcześnie, a i gdy żyli, byli zawsze zajęci gonitwą za jadłem dla swego maleństwa, że i tchu i czasu nie mieli na rozmowę. Wiedział tylko, że mu tu jakoś ciężko wśród tych tak dobrych, tak kochających go ludzi, w tym ciepłym i bezpiecznym pokoju i wygodnym gniazdku... że odejść od nich musi, musi, musi... Inaczej być nie może... Od tego dużo zawisło w Piskolkowym życiu... tak mu coś mówi, sam nie wie co... To „coś" tak go chwyta w swe niewidzialne ręce, jak go wziął Dydak z podwórca Piegżów, i niesie ku nowej, nieznanej siedzibie... Dokąd?

Tego Piskolek nie wie... Wie tylko, że jest podwójnie bezsilny... Bezsilny wobec tych dłoni, które go kędyś w dal wynoszą... i wobec tej niezdolności, która mu nie pozwala rozwinąć skrzydeł... i lecieć... lecieć śmigle, nieścigle, wysoko, daleko...

Szare dni, szare... Niepodobna rozeznać dnia od zmierzchu, nocy od świtu. Zakłócony został porządek dnia, porządek życia Piskolkowego. Ptaszęce małe serduszko bije nierówno, zmiennie i już nie odlicza kroków czasu, chwil uciekających. Zew jakiś nieznany, niewytłumaczony budzi go ze snu w nocy. Kiedy ta dziwna siła doniesie go na koniec tam daleko? Kiedy Piskolek przyjrzy się jej dłoniom i zmiarkuje czy są one tak dobrotliwe jak dłonie Witka lub Roberta, co karmią go i osłaniają?

A kiedy skrzydła będą wiedziały co mają czynić? Kiedy przestaną kaleczyć się boleśnie o twardy parapet okna?

Czekał Piskolek tej chwili i nieraz w oczekiwaniu budził się podczas nocy posępnych. Nie nadchodziła. A czuł, że nadejść była powinna... musiała!

Aż w jedną noc stało się coś takiego... Czyżby to właśnie, co przeczuwał od tak dawna?

Zbudził się w trwodze tak okropnej, jakiej nigdy dotąd nie doświadczał w ciągu krótkiego swego życia. Spoza szyby, z gałęzi włoskiego orzecha rosnącego tuż przed domem, patrzyło na niego — coś.

Piskolek chciał krzyknąć po ptasiemu z przerażenia — ale głos mu uwiązł w maleńkim gardziołku. To coś szło ku niemu po niewidzialnej gałęzi — zdawało się płynąć w powietrzu cicho, niepowstrzymanie, złowrogo. Czarny kształt ledwie rysował się w mroku — natomiast wyraźnie było widać jarzące się żółte, olbrzymie ślepia, śniady pysk i stroszące się nad pyskiem wiechcie wąsów. Zerwał się Piskolek... coś w nim się zbudziło... jakieś niejasne wspomnienie...

Matka... ojciec... tak wtedy lecieli... tylko potem przypadli na ziemię, by jego osłaniać przed tym straszliwem zjawiskiem, które teraz zbliżało się ku niemu.

Piskolek chciał krzyczeć, krzyczeć... Dech z siebie wyrzucał, ale głosu wyrzucić nie mógł... Ale dech ten go porwał, pchnął, poniósł... Co się stało?

Piskolek leci... leci... pierwszy raz w życiu... leci... daleko...

Przeleciał nad głowami śpiących twardo chłopców... Leci... leci w ciemną głąb pokoju... Wie już po co leci...

Szuka schronienia... życia... przestrzeni...

Ale czemu skrzydełka słabną?... Co to się dzieje?

Piskolek czuje nagły ból — nie tylko w skrzydełkach, ale i w główce, która uderzyła o coś twardego... tak twardego, jak parapet okienny...

Coś się mąci w małej główce... Gorąco!

A potem chłód nagły... i cichy plusk... I Piskolek już nie wie, co się z nim dzieje...

Może nawet nie słyszy tej wrzawy straszliwej, jaka w tej samej chwili wybuchła pod oknami. Kilkanaście psów z całej wioski zbiegło się w jedno miejsce i poczęły ujadać przeraźliwie. Na tym ujadaniem słychać było jakieś groźne i szydercze miauczenie... Naraz wrzawa poczęła się oddalać. Poczem wszystko ucichło.

Z chłopców tylko jeden Witek się przebudził, podniósł głowę, wsłuchał się w owe głosy, potem przestał na nie zwracać uwagę, ziewnął, przewrócił się na drugi bok i znów zasnął spokojnie.

* * *

Na drugi dzień chłopcy wstali późno, bo ich nie przebudził zwykły szczebiot jaskółki. Robert podszedł ku gniazdku, które mu się wydawało jakby uszkodzonym, czy z miejsca ruszonym. Ze zdumieniem stwierdził, że Piskolka tam nie ma... Zaczął go tedy szukać na oknie i pod oknem — ale i tam go nie było. Nie było go też pod stolikiem i pod łóżkami, pod żadnym z krzeseł. Co najdziwniejsza, z żadnego kąta nie dochodził głos nawet najcichszy, mogący świadczyć o bytności ptaszęcia. Zaniepokoiło to Roberta i niepokojem swym podzielił się z braćmi.

Dydak począł go szukać w kuchni, Witkowi zaś przyszło do głowy, że ptak pewno wyfrunął na dwór przez uchylony w nocy lufcik. Otworzył przeto okno, by zobaczyć, czy gdzie nie widać Piskolka. Nie było widać żywego ducha, prócz gospodyni Pałkowej, która zamiatała chodnik przed domem i mówiła do kogoś niewidocznego w sieni:

— A dyć pedam wom, że tu w nocy było to dzikie kocisko z lasa... Napadły na niego psy z całej wsi i tęgo mu poskubały skórę. Jesce tu parę kłaków kociej sierci ostało.

— Wiecie! Był tu w nocy dzikawy Kot-Tygrys! To on pewno zjadł Piskolka! — zawołał Wicek ku braciom.

— O, nie! — zawołał w przerażeniu Dydak, który jak co dzień, tak i tego ranka nie pamiętał, gdzie położył skarpetki, i szukał ich właśnie na komodzie. — Patrzcie, co się stało! Piskolek się utopił!

Głos Dydaka, zazwyczaj spokojny, brzmiał tym razem tak dziwnie nieswojo i zgrzytliwie, że bracia w przerażeniu zbiegli się ku komodzie.

Na samym środku akwarium, na powierzchni mętnej zielonkawej wody leżał Piskolek. Główkę miał w wodzie zanurzoną, a skrzydełka rozpostarte, jak gdyby tylko wody chciał się napić albo schwytać jednego ze swawolących grzbietopławków, a potem znów wzbić się wzwyż i polecieć w przestrzeń daleką.

Chłopcy wydobyli go z wody — ale już go do życia przywrócić nie zdołali. Łebek ptaszęcia był bezwładny i opadał w dół, oczki blask swój utraciły, skrzydełka były od spodu postrzępione, nóżki zastygły w nagłym skurczu. Serduszko nie miało już nigdy ozwać się tętnem, ni gardziołko szczebiotem.

Tadzio bardzo opłakiwał ptaszka i nie chciał pożyczyć swej łopatki braciom, którzy postanowili pogrzeb urządzić Piskolkowi. Ale oni pożyczyli dużej łopaty od Piegżów i pochowali Piskolka nad szumiącym wodospadem koło basenu na rzeczce, wreszcie ukończonego przez Roberta. A gdy tam Witek z Dydakiem przyszli dnia pewnego na poszukiwanie owadów, nie znaleźli wprawdzie jelonka, natomiast znaleźli koło Piskolkowej mogiłki krzątającą się drużynę czerwonawoczarnych grabarzy...

Nieużyteczne już gniazdko Piskolkowe wyrzucono na strych. Jesienią, po wyjeździe chłopców, podobno zagnieździły się w nim wróble. I znów było pełne ptaszęcego ruchu i szczebiotu.

Ale już tego nie słyszeli chłopcy, którzy jako jaskółki z nastaniem chłodów pociągnęli w cieplejsze strony.



ZE SPRAW RODZINY

Na szerokim świecie.

W zaprzyjaźnionej z nami Rumunii pracują również dla dobra rodziny i w kierunku doskonalenia sposobów wychowywania w rodzinie.

Dowodem tego praca w roku 1936 podjęta przez kobiecą Sekcję Stowarzyszenia Kulturalnego pn. „Astra” z miasta Kluj. Sekcja ta zorganizowała cały szereg wykładów dla robotnic miasta, z dziedziny życia rodzinnego, gospodarstwa domowego itd. Seria wykładów rozpoczęła się dnia 18 stycznia 1936 r. w lokalu wielkiej fabryki tytoniu. Pani Kamelia Bucerska mówiła o wychowaniu dziecka w rodzinie, czyniąc nacisk w wykładzie, na znaczenie matki w życiu dziecka oraz konieczność harmonijnego współdziałania szkoły i rodziny.

Francja stała się, w czasie wystawy, terenem wielkiej liczby z międzynarodowych kongresów dotyczących rodziny i wychowania w rodzinie. Od dnia 25. do 27 czerwca odbywał się Międzynarodowy Kongres Rodziny Chrześcijańskiej.

Wśród referentów kongresu byli tacy wybitni znawcy problemu rodziny i małżeństwa chrześcijańskiego, jak rektor o. Gemelli z Mediolanu, prof Dassonville z Paryża, prof Lavaud z Fryburga, prof. Fallon z Lowanium, prof Hildebrand z Wiednia, prof. Ehlen z Berlina, rektor Schmiedeer z Waszyngtonu i inni. Poza tym praca rozwija się w całej Francji. W poprzednich numerach podowaliśmy wiadomości z roku 1935, — teraz garść, nowych danych, z roku 1936 podajemy.

W roku 1936 Komitet Studiów nad Rodziną nie tylko pracował jak dotąd na terenie Francji, ale nawet rozszerzył swą działalność poza granice kraju, poświęcając głównie uwagę najmłodszym dzieciom licznych rodzin. W najbliższym czasie ma zamiar wprowadzić w czyn szereg poczynań w celu wychowania i usytuowania tych najmłodszych.

Na Kongresie Populacyjnym (de la Natolité) w Lionie dr Canchois przedstawił, w wyczerpującym referacie bilans z całej działalności „dla rodziny” we Francji. „Stowarzyszenie Licznych Rodzin”, na czele którego stoi obecnie pan M. J. Duval-Arnould viceprezes Międzynarodowej Komisji Wychowania Rodzinnego, obchodziło w roku ubiegłym dwudziestolecie swej działalności.

Akcja w kierunku utrzymania matki w jej ognisku domowym przybiera na znaczeniu i zaczyna realizować swoje postulaty. Opinia coraz bardziej przychyla się do stwierdzenia konieczności przebywania matki z dziećmi w domu.

Stowarzyszenie Chrześcijańskiego Małżeństwa, którego głównym celem jest; odrodzenie rodziny chrześcijańskiej, liczy obecnie 16.000 członków, którzy otrzymują 30.000 egzemplarzy periodycznych wydawnictw.

Wydawnictwo „Małżeństwo i Rodzina”, wydało w roku 1936 dziewięć tomów, między innymi: sprawozdanie z Kongresu „La via nous appelle” („Życie nas woła”); „La loi chrétienne du mariage” („Chrześcijańskie prawo małżeńskie” przez J. Viollet; „a propos du devoir conjugal, la mission du confesseur” („W sprawie obowiązków małżeńskich, zadania spowiednika”) przez M. ks. Dermine; „Aux Jeunes, pour une Croisade familiale”) „Do młodych, w sprawie krucjaty rodzinnej (przez ks. Gérard). Dwie powieści i dwie książki poważniejszej treści jako dalszy ciąg kolekcji wydawanej pt. „Lekcje życia” (Les leçons de la vie), oraz jedno wydawnictwo dla dzieci.

Toż samo Stowarzyszenie Chrześcijańskiego Małżeństwa zorganizowało swój 14 z rzędu Kongres Narodowy w mieście Lille. Kongres miał za temat: „Powołanie rodzinne, a przygotowanie do małżeństwa”. Ks. J. Viollet i ks. Bragade wygłosili łącznie, w roku 1936, 300 konferencji na temat rodziny.

„Szkoła Rodziców” pracuje w dalszym ciągu nad dokształceniem rodziców i przygotowaniem przyszłych rodziców do ich zadań wychowawczych, przez stałe wykłady z dziedziny wychowania rodzinnego. Urządziła też w roku 1936 VII Kongres Narodowy wychowania rodzinnego.

Wydawnictwo pt. „Wychowanie” („Education”) przeznaczone dla rodziców drukowało niezmiernie ciekawe streszczenia wykładów przeznaczonych dla wychowawczyń domowych.

Domy wychowawcze w rodzaju „Domu Wiejskiego” w miejscowości Bouldoire są rzeczywistymi ośrodkami wychowania rodzinnego. Doskonałe metody emulacji i wyrobienia moralnego stosują tam w atmosferze prawdziwie rodzinnej wytworzonej przez szkołę.

W Polsce.

Doniosłym znaczeniem tegorocznego okresu wakacyjnego była dla sprawy rodziny i wychowania: wielka pielgrzymka nauczycielska na Jasną Górę. Dwudziestotysięczna rzesza nauczycielstwa naszego odmówiła w uroczysty sposób modlitwę mającą znaczenie ślubowania. Wszyscy rodzice polscy winni znać treść tej przepięknej modlitwy, aby ocenić należycie tych współpracowników swoich na niwie wychowania naszych dzieci, którzy ją odmówili i w czyn wprowadzają.

Modlitwa jest następująca:

„Przenajświętsza Boga Rodzicielko, Bogiem wsławiona Maryjo, My nauczyciele Polacy, Narodu Polskiego członkowie, Kościoła świętego prawowierne syny, Twemu szczególnemu orędownictwu i opiece oddajemy siebie samych i rodziny nasze i pieczy naszej w szkole powierzoną dziatwę. Matko Nauczyciela naszego Chrystusa. U stóp Twoich kornie składamy nasze troski i boleści, nasze radości i zamierzenia, cały nasz nauczycielski trud, i oświadczamy: że ze wszystkich sił naszych dążyć będziemy ku temu, iżby szkołę polską przepoić Duchem Chrystusowym, a wszelkie nasze działanie oprzeć na zasadach polskich i katolickich, że wszelkich dołożymy starań, aby młodzież nasza w szkołach miała warunki gruntownego poznania, pogłębienia i pokochania zasad wiary św., oraz przywiązania do naszego Kościoła, by szkoła i Kościół stanowiły dwa zgodne ośrodki wychowania narodowego i religijnego. Odrodzicielko ducha Narodu. *Przyrzekamy i postanawiamy, że w walce o duszę i dobro dziecka nie ustąpimy i katoliccy rodzice znajdą nas w jednym ze sobą szeregu.* Słowem i przykładem naszego życia dziatwę tę będziemy bronili i wszelkie złe wpływy od niej odsuwali. Zabiegać nie przestaniemy, aby z młodzieży naszej wyrastał uczciwy człowiek, sumienny pracownik, gorliwy katolik, dobry Polak, dzielny obywatel naszego państwa. O Chryste, bądź nauczycielem nauczycielstwa polskiego. Maryjo, bądź wychowawczynią dziatwy polskiej. Józefie święty, bądź opiekunem szkoły polskiej”.

W czerwcu br. „Rodzina Wojskowa” otrzymała z rąk Marszałka Śmigłego-Rydza sztandar organizacyjny. Uroczystość rozpoczęła się nabożeństwem w kaplicy Łazienkowskiej, poświęcenia dokonał JE. Ks. Biskup Polowy Gawlina. Z rąk pana Marszałka odebrała sztandar, prezeska „Rodziny Wojskowej” pani generałowa Norwid-Neugebauerowa.

W przemówieniu swoim pan Marszałek wyraził przekonanie, że wojsku polskiemu „Rodzina Wojskowa” przez swą czystą, dobrą, szlachetną atmosferę potrafi dać jeden czynnik moralny więcej w czasie pokoju,

potrafi dać realną pomocą dla wojska pracę — w czasie wojny. Tego paniom życzę". Zakończył.

Miasto Zgierz, a wraz z nim powiat łódzki obchodził bardzo uroczyście odsłonięcie tablicy pamiątkowej ku czci matki marszałka Józefa Piłsudskiego. Na tablicy tej wmurowanej w ścianę gmachu zarządu miejskiego został wyryty następujący napis: „Tej, której syn złożył swe serce w hołdzie, Marii z Bilewiczów Piłsudskiej — uosobieniu cnót matek-Polek, które dały ojczyźnie pokolenie bojowników o niepodległość — w dniu święta matki wdzięczni Zgierzanie". Okolicznościowe przemówienie wygłosił w czasie odsłonięcia starosta powiatowy Makowski.

W broszurze p. H. Kopcia czytamy o niebezpieczeństwie wymierania inteligencji w Polsce. Gdy przeciętna cyfra przyrostu naturalnego w narodzie wynosi 1,2 proc. tzn. gdy jeszcze jest dość silna nadwyżka urodzin, to jednocześnie jedna warstwa społeczna raczej wymiera. Warstwą tą są pracownicy umysłowi, oraz wolne zawody.

W małżeństwach, zawartych wśród inteligencji przed wojną, liczba dzieci była przeciętnie wyższa od 2. Tymczasem taka sama przeciętna dla małżeństw powojennych wynosi prawdopodobnie około półtora dziecka, t. zn. że w następnym pokoleniu będzie mniej dzieci inteligentów, niż jest inteligentów obecnie. Albo zatem liczba pracowników umysłowych zmniejszy się wogóle, albo też nastąpi znaczny przypływ z warstw ludowych. To drugie jest znacznie bardziej prawdopodobne.

Inteligencja więc likwiduje się samoczynnie. Nie działają tu jednak jakieś tajemnicze prawa natury, lecz po prostu wola rodziców. W ankietach, na których opiera się obliczenie, znajdują się również przyczyny, wyjaśniające zmniejszanie się liczby potomstwa. Rodziny inteligenckie ograniczają liczbę dzieci, częściowo z powodów materialnych, częściowo przez oportunizm życiowy. Propaganda antykoncepcyjna, prowadzona wśród sfer inteligenckich od lat kilkunastu, osiągnęła swój rezultat. Warstwa inteligencji „dziedzicznej" zmniejszy się w szybkim tempie.

Nie byłoby to jeszcze wielkie nieszczęście, gdyby skutki propagandy za ograniczeniem potomstwa na tem się zatrzymały. Ale co będzie, jeśli pójdą one dalej, jeśli zaczną w wydatniejszy sposób oddziaływać na szerokie masy?

Społeczeństwo polskie dowiedziało się z ust pana ministra Michałowskiego na posiedzeniu plenarnym senatu, że prace unifikacji prawnej w komisji kodyfikacyjnej postępują naprzód. Nie wie jednak w jakim kierunku idą te prace, a już najmniej wie o tym co się dzieje z prawem małżeńskim i rodzinnym. Ks. Zygmunt Choromański pisze w tej sprawie w „Kurierze Warszawskim".

„Opinia katolicka domaga się jasno i szczerze uwzględnienia postulatów, wynikających z prawa Bożego i kościelnego. Chodzi tu bowiem o rzecz tak ważną i świętą, jakim jest Sakrament małżeństwa i o rzecz tak doniosłą, jaką jest zdrowa rodzina w stosunku do całego państwa.

Fundamentem państwa jest rodzina. Jakie, zaś jest małżeństwo — taka rodzina, taki naród, takie państwo.

Wolno nam przeto chyba wyrazić nadzieję, że sprawa prawa małżeńskiego postawiona będzie w sposób właściwy, zgoła odmienny od owego pamiętnego projektu komisji kodyfikacyjnej, który takie słuszne wywołał wzburzenie w opinii katolickiej kraju".

Zofia Jankowska.



Juliusz Osterwa.

Z TEATRU

Z wielkim hałasem weszła na scenę teatru „Narodowego" sztuka Jerzego Zawieyskiego pt. „Powrót Przełęckiego". Wynikł on z przyczyn trochę ubocznych, ale istotnych. Okazało się mianowicie, że Zawieyski, autor „Portretu Łukasza", powziął śmiałą myśl napisania dalszego ciągu „Przepióreczki", którą przed laty kilkunastu St. Żeromski wywołał tyle dyskusji. Wówczas dotyczyła ona samego problemu, zresztą raz już postawionego przez autora „Judasza" w postaci dra Judyma.

Tym razem dyskusja dotyczyła samego zamierzenia napisania dalszych dziejów bohaterów cudzego utworu. Przeciwko temu zaprotestowała ni mniej ni więcej tylko córka autora „Przepióreczki", Monika Żeromska, twierdząc, że jest to naruszenie praw autorskich i to rzeczowych jak i moralnych. P. Zawieyski wyjaśnił natychmiast w prasie, że licząc się z tym zwrócił się do rodziny St. Żeromskiego i zakomunikował jej swój zamiar. Wobec braku sprzeciwów sztukę powierzył do grania teatru „Narodowego". I teraz w całym tym sporze rzecz najdziwniejsza. Oto wdowa po autorze „Przepióreczki" zajęła stanowisko wręcz odwrotne od swej córki.

Na tym, przypuszczać należy, sprawa się formalnie wyczerpie. Pozostaje jednak zasadniczy problem literacki, czy jest rzeczą szczęśliwą artystycznie, pisać takie dalsze ciągi cudzych dzieł. Wiemy z historii literatury, że jest to zjawisko bardzo rzadkie, w dramatopisarstwie prawie nie spotykane, jeśli nie liczyć „Hamleta V" R. Jaworskiego, „Amfitriona 38", Giraudoux „Maszyny piekielnej" Cocteau, zresztą sztuki te były raczej trawestacjami, czy fantazjami dookoła głównej postaci, niż ścisłą kontynuacją ich losów. W powieści próbę takiego przedłużenia życia bohatera cudzego utworu dokonał A. Dumas w „Le prince". Zdarza się także, jak to miało miejsce z „Horsztyńskim", że wyraźnie niedokończone dzieło, ktoś dopełni, ale i to niezmiernie rzadki stanowi wypadek. I jest to rzecz zrozumiała. Któż chce się krępować logiką cudzego utworu, by w ramach tak sztucznie graniczonych snuć swoją fabułę? Kto chce narazić się na zarzut plagiatu?

A jednak znalazł się autor, który postanowił przedłużyć scenicznie kilka postaci, zrodzonych w fantazji innego twórcy. Co prawda i tu chodziło raczej nie o zwykły dalszy ciąg, ale o krytyczne podsumowanie też swego poprzednika. Główny bohater „Przepióreczki", docent Przełęcki, odchodzi od „swego szczęścia" osobistego, by nie naruszyć harmonii dzieła społecznego, którym ma być regionalny instytut w Porębianach. Przełęcki odgrywa komedię lekkoducha, by w ten sposób spalić mosty między sobą a Dorotą Smugoniową, żoną kierownika instytutu. Niestety — i tu właśnie — zaczyna się dramat Zawieyskiego — na niewiele się to przydało. Smugoniowa — ta z pierwszego aktu „Powrotu Przełęckiego" poznała się na podstępie

P. Brydziński i p. Modzelewska.





Pp. Balcerzak, Grywińska i Rzęcki.

kochanego przez się człowieka i uciekła od męża. Ten co prawda przywiózł ją z powrotem z Warszawy, gdzie na próżno szukała Przełęckiego, goniącego po szerokim świecie, złudną marę swych marzeń. Ale przywiózł „ciało bez duszy". Przeklął więc swe życie i pracę, którą zatruła inspiracja Przełęckiego. Jednocześnie i sam instytut kuleje, najpierw finansowo, potem i ideowo, jego działalność niedostosowana jest do nowych prądów wychowawczych, które odrzuciły cały ten programowy regionalizm. Walczy z „duchem" instytutu nie tylko Smugoń, ale i ludowiec Gabryś. Na tę katastrofę trafia po dziesięciu latach Przełęcki, który ostatecznie nie przemógł swej nostalgii i postanowił wrócić, by zobaczyć swe dzieło i jego aktorów.

No i Przełęcki znów krzesze z siebie iskry nowych natchnień, zwłaszcza w decydującej rozmowie z swym sobowtorem ideowcem ludowym Gabrysiem. Z Dorotą zaś raz jeszcze odbywa seminarium bohaterstwa.

W całej tej sztuce, która dlatego może tak silnie do nas przemawia, że jedność tematyczną nadaje jej kreacja tego samego aktora w roli Osterwy, są oczywiście pewne niebezpieczne zakręty psychologiczne i moralne. O ile z nich wybrnął szczęśliwie autor, niech już oceni każdy widz.

„Wolna kobieta", wystawiona w Teatrze Nowym, jest niewątpliwie sztuką interesującą przez sposób pokazania starego zresztą jak świat konfliktu między postawą amazonki, kobiety niezależnej, bo „wyzwolonej" z erotyzmu, a żywiołem bezpośredniego uczucia miłosnego, które przecież stanowi podstawową cechę kobiecości. Autor, A. Salacrou, nowoczesną Hipolitę, która czeka na swego Heraklesa, oczywiście przystroił w cały szych i blichtr pseudokultury naszych czasów, ale trafnie wyczuł i pokazał, że taka czy inna maska, takie czy inne sztuczne przecięcie zewnętrznych cech, nie jest w stanie w niczym zmienić wewnętrznych cech kobiecości. A to jest najważniejsze. Wolność kobiety, o którą tak zaciekle walczyły różne emancypantki, kończy się tam gdzie zaczyna się jej macierzyństwo, do którego przecież zmierza wprost czy ubocznie cały erotyzm, choćby tak wypaczony jak to jest dziś. Interesujące zawikłania życiowe „wolnej kobiety" przedstawiła z wdziękiem i temperamentem Karolina Lubieńska. Starszą generację kobiecą reprezentowała Stanisława Wysocka, a falangę heraklesową, zdecydowaną złamać „wolność kobiecą" panowie: Tadeusz Wesołowski, Leon Łuszczewski i Tadeusz Frenkiel.

Od dwu lat działa w Warszawie Stołeczny Teatr Powszechny, w poprzednim sezonie pod dyrekcją Iwo Galla, w obecnym pod kierunkiem Eugeniusza Poredy. Po różnych próbach repertuarowych ostatecznie skrystalizowała się linia programowa teatru w kierunku melodramatu, krotochwili muzycznej, jako najbardziej odpowiadających gustom szerokiej publiczności. W rezultacie T. Powszechny uraczył nas wystawieniem „Nowego Don Kichota" Fredry, oraz „Intryga miłości" Fr. Schillera", na koniec „Trójki hultajskiej" Nestroya. Wielkie powodzenie tego repertuaru stwierdza, że trafiono na właściwą drogę.

Jest rzeczą ważną dla całokształtu kultury obserwować życie teatralne prowincji; poza takimi ważnymi ośrodkami jak Kraków, Lwów, czy Poznań (opera), które poziomem dorównywują stolicy, istnieje cały szereg ośrodków, muszących godzić wymagania wysokiego repertuaru z obowiązkami w rodzaju warszawskiego Teatru Powszechnego. Jak z tego wychodzą obronną ręką, o tym świadczyć może np. teatr toruński tzw. „Teatr Ziemi Pomorskiej". Zaczął on sezon „Nieboską Komedią", czyniąc w ten sposób jedyny wyłom w zupełnym zablokowaniu scen polskich, dla tego tak w dzisiejszej atmosferze aktualnego arcydzieła. Następnie dał „Wesele" i „Niespodziankę" Rostworowskiego, potem „Skalmierzanki", zabytek repertuarowy z XVIII wieku, dalej melodramatyczna „Dama Kameliowa" Dumasa i na koniec „Złoty wieniec" doskonała najlepszej klasy współczesna komedia angielska. W międzyczasie wesołe drobiazgi, po części znane ze stołecznych scen „Trafika pani generałowej", „Jacht miłości", „Niebieskie migdały", „Pani prezesowa" i coś dla dzieci, a więc „Kopciuszek" oraz „Noc św. Mikołaja", pióra znakomitego Macieja Szukiewicza. Nie można więc mówić, by teatr pomorski nie wiedział, jak się wywiązać ze swego zadania. Zasługa to jego dyrektora p. Brackiego.

ZE ŚWIATA KATOLICKIEGO

Na Międzynarodowym Kongresie Chrystusa Króla, jaki się odbył w Poznaniu, zjawili się uczestnicy ze stron dalekich z arcybiskupem Paryża na czele. Czterdziestu biskupów zasiadło w stallach — delegaci Niemiec, Belgii, Szwajcarii, Węgier, Austrii, Jugosławii, Rumunii, Włoch, Szwecji, Finlandii, Łotwy, Luksemburga, Czech i Słowacji.

Dnia 25 czerwca odbyła się inauguracja kongresu w wielkiej auli Uniwersytetu Poznańskiego. Zagaił prezes Międzynarodowego Komitetu Kongresów Chrystusa Króla biskup Rapperswilu, msgr Schweiller. W prezydium Kongresu zasiedli katolicy polscy i zagraniczni. Legat Papieski Ks. Kardynał Hlond, Prymas Polski, zabrał głos, by zwrócić uwagę uczestników Kongresu na okoliczność, że Kongres ma być jedną z rozgrywek między Chrystusem a antychrystem, że ma być świętem integralnego katolicyzmu. Kardynał powitał kolegę swego kardynała paryskiego Verdiera, „szczerego opiekuna duchowego emigracji polskiej we Francji, budowniczego stu kościołów nad Sekwaną".

„Po obwieszczeniu przepysznego listu — mówił Legat Papieski — którym Ojciec św. uczcił Międzynarodowy Kongres Chrystusa Króla w Poznaniu, ledwie nie zuchwałe i zbyteczne staje się słowo Legata. Pismo apostolskie bogato wyczerpuje ideę i założenie Kongresu. A jakież znaczenie

Pp. Modzelewska i Dominiak.



przyznaje Papież temu Zjazdowi. Jakież nadzieje w nim pokłada! Nie można było ani Kongresu dowodniej uzasadnić, ani dokładniej określić jego zadań, ani szczęśliwiej odwołać się do katolickich inicjatyw, a w szczególności do polskich ambicji apostolskich.

„Swoim bogactwem myślowym, natchnieniem i entuzjastycznym akcesem stanowią malowniczy a trafny komentarz pisma papieskiego listy i telegramy bez liku, którymi mnie z okazji Kongresu zasypuje świat chrześcijański. Ubolewam, że dla braku czasu nie będzie można podać szanownym uczestnikom Zjazdu choćby wyciągów z tej wszechjęzykowej literatury, w której nie wiadomo, czym się więcej lubować, czy wzlotami nowoczesnej myśli katolickiej, czy burzowymi porywami apostolskimi, czy *tęsknotami do trudów, ofiar i męczeństwa za Chrystusa, czy wreszcie ogólnym oczekiwaniem, że Polska w tę wielką godzinę dziejów, spełni dla katolicyzmu jakieś opatrznościowe i zwrotne posłannictwo*".

„Wyzwoliwszy dusze z ziemskich sporów — kończył Legat — przeżywajmy społem cud mistycznej jedności w Chrystusie! Ranną i wieczorną modlitwą kontemplacyjną uzdolniajmy się do wyznawania prawdy w powiewie Ducha Świętego. Idzie ku nam wiosna wiary... idzie z apostolstwem i twórczym czynem odrodzonego katolicyzmu. Idzie od zbezczeszczonych równin rosyjskich, od świeżych cmentarzy hiszpańskich, od znowu otwartych świątyń Meksyku"...

Rozpoczęły się następnie trzydniowe obrady Kongresu. Uroczystość świętych Piotra i Pawła znakomicie została wybrana na dzień zakończenia nabożeństwa i manifestacji Międzynarodowego Kongresu. Słowa Ewangelii: „Tyś jest Opoką" — pięknie harmonizowały z całym nastrojem Kongresu, na każdym kroku dającego dowody wierności i przywiązania do Stolicy Apostolskiej. Lekcja o cudownym wyprowadzeniu św. Piotra z więzienia przypominała, że ci, którzy pójdą w ślady Apostołów, znajdą oparcie w Bogu.

Mszę św. dla dzieci odprawił na zakończenie Kongresu kardynał Verdier. Ogromne wrażenie robił śpiew tych tysięcy młodych głosów. Po kilku słowach początku każdej zwrotki, poddanych przez kapłana na megafony, śpiewały już dzieci same... Głębokie w swej prostocie było kazanie ks. biskupa Lorka z Sandomierza. W godzinę po zakończeniu Mszy św. dzieci, odprawił Mszę św. pontyfikalną Ks. Kardynał Legat. W pięknej formie literackiej ks. biskup polowy Gawlina nakreślił przed oczyma wyobraźni „Nieboską komedię" naszych czasów, syntezując głównie wyniki rozważań kongresowych. „Widzieliście — mówił — jak wojsko prezentowało broń przed Legatem: to nie poza, to wyznanie, że każdy żołnierz polski gotów jest dać życie za wiarę i Ojczyznę. Patrzyliście na lud przybyły z daleka, nieraz piechotą. I u nas zdarzyć się mogą nieporozumienia, jak między ojcem i matką, ojczystym krajem i matką Kościołem, ale naszych wewnętrznych spraw nie głosimy uszom całego świata"...

Po wspólnym śpiewie „Christus vincit" *dziesiątkami tysięcy głosów rozbrzmiewa „Credo". Każdy naród mówi je w swoim języku.* Potem chór śpiewa: „Tu es Petrus" i przemawia znowu na zakończenie Kardynał Legat tymi słowy:

„*W imieniu zebranych przedstawicieli narodów katolickich składamy publiczny hołd Chrystusowi Królowi.* Solidaryzujemy się z każdym czynem i każdą ofiarą poniesioną dla Chrystusa, solidaryzujemy się z męstwem wyznawców Chrystusa i z bohaterstwem Jego męczenników. Ludom przeżywającym Kalwarię wiary niesiemy bratnie pozdrowienie i zapewnienie, że nie zawiedziemy, gdy zawezwą nas do pracy przy odbudowie świątyń i ołtarzy. Ojcu świętemu deklarujemy bezwzględną uległość. Wiernie służyć będziemy wielkości państw i szczęściu narodów. Czynem ludzi Akcji Katolickiej budować chcemy nowe czasy. Do ludów świata zwracamy się z apelem, by się ostatecznie i bezwarunkowo zdecydowały na Boga i bez kompromisów oddzieliły się od ruchów bezbożniczych i neopogańskich".

Po tym przemówieniu Ks. Kardynał Legat imieniem i mocą Ojca świętego udzielił błogosławieństwa... Hymny „My chcemy Boga" i „Boże, coś Polskę" zakończyły wspaniałą manifestację, przeprowadzoną pod hasłem: „Pax Christi in Regno Christi".

Olbrzymie przemiany zachodzą w narodzie polskim. Świadomość katolicka staje się w Polsce coraz silniejsza. Dowodem między innymi liczne ostatnie pielgrzymki na Jasną Górę, a szczególnie pielgrzymka nauczycieli. „U stóp Jasnej Góry — głosi odezwa Komitetu Pielgrzymki — nauczycielstwo polskie wszelkich typów szkół, przekonań politycznych i przynależności organizacyjnej staje przed obliczem Królowej Korony Polskiej, aby zadokumentować wobec Boga i społeczeństwa swój katolicki charakter".

Ale nauczycielstwo nie chce tylko manifestować. Idzie dalej: „Nauczycielstwo świadome swej odpowiedzialności za wychowanie młodych pokoleń wskrzeszonej Ojczyzny, pragnie uprosić światła i pomocy u Tej, która jest Matką Chrystusa — najlepszego Nauczyciela".

Podczas gdy w Polsce większość nauczycielstwa stwierdza swą przynależność do katolicyzmu, w Niemczech reżim hitlerowski próbuje w dalszym ciągu forsować tzw. „szkołę międzywyznaniową". Ale przeciwko takim pomysłom wystąpił ostatnio nawet socjalista wiedeński, profesor uniwersytetu Maksymilian Adler. „Wychowanie bezwyznaniowe — mówi on — daje zawsze ludzi bez prawego charakteru i nieuczciwych... To, o czym zwykle mówimy jako o wychowaniu bez Boga, jest albo błędnym zrozumieniem człowieka i jego prawdziwych potrzeb, albo bezkrytycznym doktrynerstwem"...

Sprawa wychowania i młodzieży szkolnej była ostatnio poruszona w Polsce często na łamach prasy katolickiej. W ostatnim „Przeglądzie Powszechnym" (nr 5) ukazał się interesujący artykuł redaktora tego pisma, ks. Edwarda Kosibowicza, poświęcony zagadnieniu młodzieży uniwersyteckiej. Autor potępia słusznie tajne organizacje, pisząc:

„Konspiracja wywiera zawsze wpływ ujemny, przygotowuje teren pod posunięcia gwałtowne i nielegalne w nadziei, iż ujdą bezkarnie... Niebezpieczeństwo to rośnie, gdy chodzi o młodzież, wśród której konspiracyjne metody wpływają zawsze na wypaczenie zwłaszcza słabszych charakterów".

W Niemczech na miejsce chrześcijaństwa hitleryzm w dalszym ciągu usiłuje wskrzesić dawny germański poganizm. Z okazji „święta słońca" (24 czerwca) na stadionie olimpijskim w Berlinie odbyło się wielkie zgromadzenie, na którym min. Goebbels wygłosił przemówienie. Mówca wprawdzie stwierdził, że przywracając odwieczny zwyczaj świętowania zrównania dnia z nocą, narodowy socjalizm nie ma bynajmniej zamiaru opierania na tym jakiejś nowej religii. Ale oczywistą jest rzeczą, co widać z podobnych imprez, że chodzi o danie narodowi niemieckiemu jakiejś namiastki kultu religijnego w miejsce chrześcijaństwa.

„Żeby zrozumieć te neopogańskie dążenia hitleryzmu — pisze autor rozprawy „Kult słońca czy kult Boga" — trzeba zdać sobie sprawę, że zasadniczym credo hitleryzmu jest zupełne zjednolicenie narodu, stopienie go w jedną bryłę. Tymczasem Niemcy pod względem religijnym są rozdarte na różne wyznania protestanckie i katolicyzm. Religia zbyt głęboko sięga w rdzeń duszy ludzkiej, zbyt gruntownie urabia cały światopogląd ludzi nawet półwierzących, by zlanie dwureligijnego narodu w jeden stop było rzeczą łatwą. Hitleryzm rozumie to doskonale i dlatego mamy odrzucenie kultu Boga w różnych kościołach i zmienienie go „kultem słońca" całego narodu niemieckiego. Hitleryzm wierzy, iż wychowując odpowiednio młode pokolenie, ową przepaść psychiczną myślenia katolickiego i protestanckiego wyrówna.

Oczywiście plany te są złudą i zapewne nie wszyscy nawet ich propagatorzy biorą je na serio. Tym niemniej hitleryzm nie umie wykrzesać czegoś głębszego. Z tą chwilą Niemcy schodzą na drogę niezmiernie śliską i niebezpieczną, gdyż tak szeroki kulturkampf może wstrząsnąć całym ustrojem Niemiec dzisiejszych. Musi też mieć ogromny wpływ na stosunki zewnętrzne niekoniecznie dla Niemiec korzystne... Trudno przypuścić, by Niemcy mogły naprawdę coć wygrać na zamianie kultu Boga kultem słońca.

Prasa polska cytuje artykuł p. B. Koskowskiego, w którym wypowiedziane zostało twierdzenie, że *sfery liberalno-masońskie we Francji* zmieniają swój dotychczasowy stosunek do Kościoła i religii i wyrzekają się „antyklerykalizmu". Tymczasem francuski dziennik katolicki „La Croix" przytacza sprawozdanie ze zjazdu socjalistyczno-komunistycznych związków zawodowych G. G. T. (Confederation Generale du Travail), w którym mówcy, przemawiający na zjeździe, po dawnemu napadali na Kościół, twierdząc, że „katolicyzm czyha na wolność i demokrację".

Z FILMU

„Dziewczę z Prateru", wyświetlane obecnie w Filharmonii, interesuje szerokie rzesze kinomanów, z uwagi na naczelną rolę Marty Eggerth. Ma ona tu szerokie pole popisu w tak zawsze mile w ucho wpadającej lekkiej piosence wiedeńskiej. Czar wiedeńskiego walczyka błękitnego, urok melodii ulicznych naddunajskiej stolicy, pełnej galgenhumoru, wszystko to znalazło w „Dziewczęciu z Prateru" porywające wcielenie. Poznajemy się w tym wesołym filmie z całą galerią tak dobrze znanych, a zawsze chętnie widzianych postaci i typów, z fiakrem, pełnym fantazji, opasłym gospodarzem ogródka z różnymi wesołymi, beztroskimi ptakami na czele. Wszystko to owija się dookoła naszego „Dziewczęcia z Prateru", tworząc jakby jej świtę, a Marta Eggerth śpiewa, śmieje się, łobuzuje, bawiąc nas i porywając w krainę wesela.

Wyświetlany w kinie „Roma" film „Ich ścieżki" najzupełniej słusznie znalazł się pod protektoratem Ligi Ochrony Zwierząt. Istotnie bowiem jest epopeją psią i końską. W barwnej anegdocie przedstawia dzieje młodego źrebca i stowarzyszo-



Annabella wystąpi obok Conrada Veidta w filmie „Serce i Szpada".

nego z nim niezłomną przyjaźnią wilczka. Że źrebca wyrósł wspaniały wyścigowiec, co to z wiatrem pędzi w zawody, z wilczka-szczeniaka, wielki wilk. Po różnych kolejach losu, które ostatecznie i konia, i psa zmusiły do ucieczki w step, następuje spotkanie naszych przyjaciół w bardzo dramatycznej sytuacji. Wilk związał się z gromadą dzikich wilków i „zarabia na chleb" polując na stada koni. Na czele jednego z nich znalazł się nasz koń. Jesteśmy świadkami ataku wilków na konie, ucieczki w popłochu, gonitwy poprzez haszcze i wertepy. Wreszcie koń i wilk stają oko w oko. Początkowo wrogo patrzą na siebie. Nagle błysk świadomości, z zakamarków świadomości wybłyska wspomnienie: „My się znamy", my już kiedyś zawarliśmy przyjaźń na śmierć i życie. Wilk przypomina sobie dawne swawole ze swym towarzyszem, pędzi kilkadziesiąt kroków, przystaje i zawadiacko naszczekuje, jakby wzywając „chodź za mną". Wzruszająca scena, gdy koń na ten apel po chwili wahania rzuca się ostrym galopem ku przyjacielowi.

Po tym spotkaniu koń doznaje przyjacielskiej przysługi ze strony wilka, który próbuje go uwolnić z pęt lassa. Niestety nie na wiele się to zdało. Ostatecznie koń i pies „wracają do domu". Ale już jeden bez drugiego się nie ruszy. Nasz biegun nawet w stajni na torze musi czuć obok siebie obecność przyjaciela. Nie będę tu opisywał jego sukcesu na wyścigach i miłego epilogu całej tej awantury, zarówno dla psa i konia, jak i dla zakochanej młodej pary serdecznych opiekunów naszych „bahaterów". To już trzeba zobaczyć.

Ogólnie jednak trzeba powiedzieć, że film daje bardzo ciekawy przekrój życia, obyczaju i psychologii zwierząt. A co ważniejsze stanowi żywy apel do serc ludzkich o życzliwość dla zwierząt, jest jakby realizacją franciszkańskiego hasła.

Następny program „Romy" przynosi nam film śpiewaczy z Lawrencem Tibbetem. Nie trzeba wiele wychwalać fenomenalnego tego śpiewaka, którego mocny, dźwięczny głos dawno już podbił świat. W świeżym filmie ma on znów duże pole do popisu. Kto więc chce go usłyszeć, niech skorzysta z okazji.

Dawno niewidziany komik, ulubieniec publiczności, Eddie Cantor, ukończył obecnie nakręcanie nowego filmu dla wytwórni „20th Century-Fox" pt. „Ali Baba i 40 rozbójników" (Alibaba goes to town). Ciekawa jest fabuła tego filmu. Otóż Eddie gra w nim rolę sprzedawcy środków przeciwko odciskom, który dzięki przypadkowi, dublując jakąś gwiazdę, zostaje aktorem filmowym. Film ten pokazuje nam w doskonałym satyrycznym świetle kulisy wielkich wytwórni Hollywoodu i dzięki niezrównanemu wesołkowi ekranu rozśmieszy do łez najzatwardzialszego nawet tetryka czy śledziennika.

„Ali Baba i 40 rozbójników" — to jedyny w tym roku film Eddie Cantora. Wytwórnia „20th Century-Fox" jest zadowolona, że może go zaprezentować polskiej publiczności w tym sezonie.

Barwny i malowniczy tryb życia reporterów amerykańskich znalazł już niejednokrotnie oddźwięk w tematyce filmowej. Pamiętamy doskonale cały szereg obrazów, w których dziennikarze odgrywają pierwsze skrzypce. Jest rzeczą powszechnie wiadomą, iż zawód reportera nigdzie na całym świecie nie obfituje w taką ilość wrażeń jak właśnie w U. S. A. Reporterzy amerykańscy bez oglądania się na środki muszą częstokroć z narażeniem życia dostarczyć wielomilionowej masie czytelników potężnych koncernów jak największych wrażeń. Typ tak zwanego „hunting reporter", „polującego reportera" jest częstym zjawiskiem filmowym.

W obrazie pt. „Niewinnie się zaczęło" mamy właśnie do czynienia z dwoma aż reporterami, którzy konkurują z sobą w dostarczaniu wiadomości o życiu słynnej z piękności milionerki. Jeśli do tego dodamy fakt, iż milionerka, nie mogąc opędzić się od natrętnych reporterów, ogłasza dla kawału swoje zaręczyny z jednym z nich, i jeśli weźmiemy pod uwagę, że role główne, milionerki oraz dwóch reporterów, spoczywają w rękach Loretty Young, Tyrone Powera i Don Ameche, możemy sobie wyobrazić jak arcydowcipnie i niecodziennie przedstawia się ten film. Reżyser Tay Garnett jest znany w Hollywood ze swojego wyczucia dowcipu. Jemu też powierzono realizację tej zabawnej komedii.

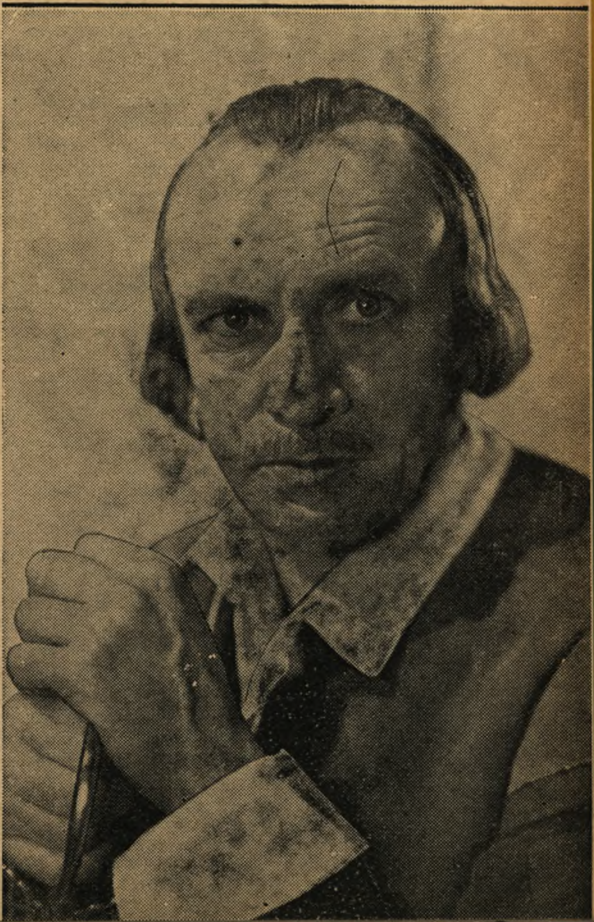
Bezsprzecznie najpopularniejszy i najurodziwszy amant dzisiejszego ekranu, Robert Taylor, ukaże się wkrótce w filmie wytwórni „20th Century-Fox" pt. „This is my affair" (Osobisty wróg). Taylor gra w tym filmie rolę porucznika marynarki, któremu prezydent Stanów Zjednoczonych w dowód największego zaufania, zaleca udanie się na wybrzeże Zachodniej Ameryki w celu wywiedzenia się, jakie jest podłoże buntu floty Ameryki przeciwko centrali w Waszyngtonie. Na czele zbuntowanej floty stoi Victor Mc. Laglen, który w tej roli pokazuje nam dopiero ogromną skalę możliwości swego talentu. Taylor przeżywa szereg niebezpiecznych przygód, aż wreszcie spotyka na drodze swego życia Barbarę Stanwyck, która w powyższym filmie kreuje rolę szpiega. Akcja obrazu toczy się wartko, wytwórnia „20th Century-Fox" nie żałowała pieniędzy na oddanie charakteru epoki oraz odtworzenie wspaniałego buntu marynarzy.

ZE SZTUKI

Łowiectwo w sztuce polskiej wystawa w warszawskiej Zachęcie.

Zdaje się, że zarówno zwykły widz, jak artysta i krytyk przeszedłszy salę wystawy musi doznać uczucia odświeżenia wewnętrznego, patrząc na oazę polskiego pejzażu w budynku „Zachęty". Boć raczej wystawą polskiego pejzażu nazwać należałoby zbiór prac gdzie temat łowiectwa, ściślej mówiąc leśnego czy polnego animalizmu jest właściwie dekoracyjnym dodatkiem. Jest to wynik naturalnego procesu psychicznego związanego z głębią samej istoty twórczej naszego malarstwa. Wrażenie to nie pomniejsza bynajmniej wartości wystawy. Owe powroty z łowów, lub wyprawy na polowania, będące tylko fragmentem — prologiem, lub epilogiem właściwego dramatu — odzwierciadlają usposobienie Polaka, nie lubującego się ani w ociekających krwią zapasach, z dziką bestią, ani w ilustracjach mordowania niewinnych zwierząt. Łowiectwo w polskim malarstwie traktowane jest podobnie jak w literaturze naszej, raczej jako zabawa, lub konieczna obrona, a nie rozkoszowanie się okrutnymi scenami rzezi na zimno. Przodkowie nasi nadstawiając pierś w bohaterskich walkach broniąc granic Rzeczypospolitej stwarzali równocześnie żywy mur osłaniający przez długie wieki całą cywilizację Zachodu. Łowiectwo było przez nich uważane za szlachetną rozrywkę, upra-

Conrad Veidt w bohaterskim filmie pt. „Serce i Szpada".



wianą na marginesie prawdziwych walk z wrogiem-człowiekiem. Tymczasem Zachód posiadał dużo czasu wolnego dla stwarzania idylicznej fantazji malarskiej, apoteozującej łowy, łowców i zwierzynę. To są te pierwsze wrażenia ogólne. Za nimi zjawia się cały szereg refleksji, nasuwa się bogata gama opisów polowań od złotego wieku do epoki romantyzmu i rozkwitu najnowszej twórczości literackiej. Proza i poezja idą równolegle.

Wyczarowane „Starą Baśnią" Kraszewskiego zamierzchłe puszcze szumiące jodłami, Dygasińskiego pełne zwierza bory, cudowne przedświtania głuszcowe i Dołęgowskie fanfary Weysenhoffa, wspaniałe Świętokrzyskie wskrzeszenia Żeromskiego, Karpackie rykowiska E. Krasińskiego, echowe trąby Wojskiego w Panu Tadeuszu, lub wreszcie rymowym wyrazem barwione pola i lasy tragicznie znikłego Ejsmonta — wszystko łączy się przedziwnie z jednym... drugim... dziesiątym obrazem wiszącym na ścianie — tworząc w wyobraźni dotykalną niemal wizję duszy Polski. A na codzienny użytek ilustracja stanowiąc pomost między wielką sztuką, a graficznym jej wyładnikiem, poukładana tutaj w gablotach przypomina dziecięce lata pełne ciekawości dla pożółkłych już obecnie kart „Kłosów" „Biesiady", „Tygodnika" różnych albumów, obszernych tomów Chodźki, lub Mickiewicza zdobnych ryciną. Rok myśliwego Juliusza Kossaka, rysunkowa epopeja łowiectwa, E. Andriollego, ilustracje Pana Tadeusza i liczne rozsiane w tygodnikach winiety oraz sceny Pillattiego, Ryszkiewicza, S. Wolskiego, Bohusza-Siestrzeńcewicza i wielu innych artystów naszych, przeplatane pogodną satyrą Kostrzewskiego — tworzą słuszne dopełnienie obrazów.

Właściwie sama treść malowideł łowieckich jest w twórczości polskich artystów jakby dalszym ciągiem, czy odmianą ich batalistycznego talentu. Sztuka narodowa, istotny wykładnik dziejów — wystrzeliła u nas nad poziomy rycerskim rapsodem w malarstwie XIX wieku, jako konieczne plastyczne zaakcentowanie romantyzmu literatury i żmudnych dociekań polskich szkół historycznych, prześcigając wraz z poezją artystyczne potęgi pędzla i pióra Zachodu.

Wystawa podzielona jest na dwa działy: retrospyktywny i współczesny. Pierwszy stanowczo góruje nad drugim. Znajdują się tu przeważnie dobrze znane z dawniejszych wystaw i reprodukcji arcydzieła naszych mistrzów batalistyki, malarzów konia i pokrewnych tematów.

Orszak twórców łowieckiego życia na płótnie rozpoczyna ze starodawnej patyny wyzierający January Suchodolski i Brodowski, zaraz potem rzuca się w oczy mocarny Brandt. „Napad wilka na stadninę", „Z polowania" i prześliczny obrazek: „Na polanie". Obok niego największy malarz przyrody rodzimej Chełmoński, bodaj jedyny przed Fałatem przedstawia w swych utworach walkę człowieka ze zwierzęciem w słynnym „Napadzie wilków", malowanym w kilku wariantach, dwa z nich właśnie oglądamy. Z rozkoszą patrzymy wraz z artystą na szerokie rozłogi, gdzie kłusują dropie, gdzie wśród zawieii stroskane błądzą kuropatwy, podziwiamy z bodaj najwięcej malarskim temperamentem naszkicowane czające się na zdobycz „Liski".

Rozlewność i ukochanie pejzażu stawia H. Weyssenhoffa nieopodal Chełmońskiego jeno z jeszcze większym smętkiem maluje białoruskie moczary, gdzie w jesiennej poświacie przesuwa się daleka sylweta kroczącego łosia, lub przed świtem w gąszczu tokuje zawzięcie głuszec.

Łoś w rodzinie zwierząt zajmuje w naszym malarstwie łowieckim poczesne stanowisko, zwłaszcza w twórczości Fałata, czy to, gdy walczy z wilkiem, czy to gdy maluje jego figurę na tle osypanego śniegiem boru.

W scenach myśliwskich Fałata spostrzegamy zupełnie wyraźnie rozdwojenie techniki malarskiej. Dawny Fałat to olejne kompozycje z niedźwiedziami jako główną osobą (najwyższa klasa — mały obrazek: wypędzanie misia z legowiska), to spoczywające i czekające w lesie nagonki nieświeskie. Nowy niezmiernie interesujący Fałat to akwarelista, malujący głuszce, lub polowanie na kaczki. Przejawia się w nich największy nerw artysty, gdy z brawurą zaledwo muśnięciem pędza podkreśla kontury figur.

Znakomity Maks Gierymski cyzelując w swych barokowych orszakach upudrowane grona myśliwych jest prototypem doskonale ujmującego światłocień, zbliżonego doń w tym temacie Wandalina Strzałeckiego. A dalej oglądamy na rdzawym tle „Kaczory" Wywiórskiego, rozświetlonego południowym żarem „Albańczyka", utwór Ajdukiewicza i Wierusza Kowalskiego rozmawiającego w obowiązkowej „biedce" z gromadą psów, jeszcze dalej jedną z najlepszych kompozycji Pawliszka: „Wyjazd p. Orzelskiej na polowanie" z kolei widzimy subtelnie traktowane „Dzikie Kaczki" Masłowskiego, wreszcie malutkie doskonałe gwasze K. Mackiewicza.

W dziale współczesnym bezwątpienia na wystawie najlepszym faunistą jest A. Sarnowicz. Obrawszy sobie za jeden z głównych celów — studiowanie tajemnic polskiej knieii — doczekał się znakomitych wyników. Jego żubr-brodacz sędziwy, błądzący już to pojedynkiem, już to w parze po dzikich ostępach posiada grozę i powagę godną króla naszej puszczy. Swoisty styl pejzażowy Sarnowicza — omszała zieleń i dekoracyjność zwisających festonów listowia podkreśla subtelnie głębię tajemnicy leśnej. Gdzie indziej w idylli ptaszęcej wypromieniowuje z artysty dawny romantyzm ujęty w nowocześnie pojętą plamę malarską. Drugim tęgim malarzem łowiectwa jest Jakimczuk. Niepotrzebnie tylko ulega wpływom zresztą zupełnie szlachetnym Chełmońsko-Fałatowskim, gdyż może bez większego trudu wydobyć swój indywidualny wyraz, przecież stać go na to. Jego „Kaczory wiosenne" dowodzą tego. Żukowskiego widoki z puszczy Świsłockiej bardzo poprawnie wykonane, rażą monotonią sztandartu. Przydatek wypchanego nieproporcjonalnego głuszca nie podnosi wartości kompozycji. J. S. Ryszkiewicza akwarela: „Z chartami" jest bardzo dobrą pracą, Borucińskiego rycerski „Sokolnik" wdzięcznym tematem ilustracyjnym. Dramatyczny akcent posiada św. Hubert Jerzego Kossaka, furię malarską — „Polowanie" H. Tellosa.

W całej wystawie starych i młodych wybija się silnie narodowy charakter indywidualnej sztuki, duch tężyzny aryjskiej, przerwanej tylko sylwetą jakiegoś gold... sontagsjegera, któremu Kostrzewski kazał niespodziewanie z wekslem zjawić się na polowaniu przed zdziwionym niepomiernie dziedzicem.

Na ośnieżonych polach, lub szmaragdowych łąkach wyłaniające się sceny myśliwskie wywierają swoisty urok. Udzielić się on musi każdemu zwiedzającemu wystawę. Wprawdzie nowe malarstwo posiada swoje odrębne drogi, związane z nowymi wymaganiami architektury i życia, nie mniej jednak pieśń przeszłości może i powinna natchnąć twórczość naszych najmłodszych artystów do choćby monumentalnych form, lecz niezakłamanych sztucznymi wpływami, do tworzenia po linii tradycji — oryginalnej sztuki polskiej.

Dr M. Nałęcz-Dobrowolski.

Z PIŚMIENNICTWA

Sprawy ważne i błahe. Stanisław Miłaszewski w rezultacie dokonanych ostatnio wyborów został prezesem Zjednoczenia Pisarzy Katolickich.

Książka Stanisława Wasylewskiego pt. „Na Śląsku Opolskim" ukazała się w pięknej szacie zewnętrznej, stając się rewelacją na niemniejszą skalę aniżeli „Na tropach Smętka" Melchiora Wańkowicza.

Gustaw Morcinek wyjeżdża na szereg odczytów do Francji.

„Sidła" — to nowa powieść Leona Kruczkowskiego.

Bruno Jasieński, poeta futurystyczny i pisarz bolszewicki, piszący w Bolszewii po polsku, został aresztowany przez władze sowieckie, które uznały go za trockistę; obok niego od dawna przebywa w więzieniu w Sowietach inny pisarz komunistyczny, Witold Wandurski.

Zapowiedziane zostało książkowe wydanie listów Stefana Żeromskiego.

W Gdyni przy współudziale najwybitniejszych pisarzy podobnie jak w roku ubiegłym zorganizowany będzie Wakacyjny Instytut Sztuki.

Polska Akademia Literatury rozpoczęła prace nad rozpatrywaniem kandydatur do jesiennego odznaczenia Wawrzynem Akademickim.

Nagrodę miasta Krakowa otrzymała tym razem Maria Jasnorzewska-Pawlikowska za tom wierszy „Balet powojów".

Dyr. Stefan Demby opublikował nieznane dotąd listy Henryka Sienkiewicza z okresu najwcześniejszej młodości.

W dwudziestopięciolecie śmierci Bolesława Prusa Stefan Godlewski opublikował nawiązujący do „Lalki" tom sonetów, zatytułowany: „Śladami Wokulskiego".

Laureat Iwaszkiewicz. Nagroda teatralna im. Leona Reynela za r. 1936 przyznana została sztuce Jarosława Iwaszkiewicza pt. „Lato w Nohant", której bohaterem jest Fryderyk Szopen. Jeden z członków jury nagrodowego, Adam Grzymała-Siedlecki, pisze w „Kurierze Warszawskim": „Lato w Nohant" zwyciężyło na całej linii, bo — poza nieuniknionymi w każdym dziele błędami — jest sztuką dobrą, wytworną umiejącą przykuć uwagę, wywołać wzruszenie. Nagroda słusznie się sztuce należała". Rozpatrując „Lato w Nohant" na tle twórczości Iwaszkiewicza, Grzymała-Sied-

lecki stwierdza, że oto „stanął wyższy o cały wzrost od Iwaszkiewicza z poprzednich utworów". „Piękna dojrzałość duchowa, wykwintny artyzm i pełna wdzięku prostota objawiły się w najnowszym jego dorobku", a więc i w „Lecie w Nohant".

Delegacja Polskiej Akademii Literatury u marszałka Śmigłego-Rydza. 15 kwietnia rb. marszałek Edward Śmigły-Rydz, protektor Polskiej Akademii Literatury, przyjął delegację jej członków. Do delegacji należeli: prezes Wacław Sieroszewski, wiceprezes Leopold Staff, sekretarz generalny Juliusz Kaden-Bandrowski, Tadeusz Boy-Żeleński oraz Ferdynand Goetel. Podczas audiencji marszałek Śmigły-Rydz informował się o najbardziej żywotnych sprawach, dotyczących współczesnego piśmiennictwa polskiego, o warunkach rozwoju literatury pięknej i o możliwościach jej rozpowszechniania oraz o losie książki polskiej, jako narzędziu kultury narodowej.

Śmierć Marii Paruszewskiej. W kilka miesięcy po uroczystym jubileuszu, który stał się w grudniu r.ub. świętem kulturalnego Poznania, Maria Paruszewska zakończyła życie. Było to życie niepowszednie, życie pracowite i sumiennie przepracowane, choć jednak śmierć zaskoczyła Marię Paruszewską u kresu życiowej wędrówki po wielu latach dobrze wypełnionych obowiązków, to jednak wszyscy, którzy mieli zaszczyt znać ją osobiście względnie słyszeć o niej od jej oddanych przyjaciół, nie mogą nie wyrazić swego szczerego żalu z powodu poniesionej straty.

Maria Paruszewska była autorką paru tomów wierszy, była autorką całego mnóstwa artykułów, nie praca pisarska wszakże była polem jej najwartościowszej działalności. Zasługą jej największą pozostanie to przede wszystkim, że na długo przed wojną potrafiła z domu swego w Poznaniu stworzyć ognisko życia artystycznego, jedno z niezależnych takich ognisk w uciskanej przez hakatę Wielkopolsce. Spokrewniona z prymasem Przyłuskim, umiała nieść wysoko sztandar polskości i sztandar katolicyzmu, dzięki czemu syn jej zajmuje dzisiaj jedno z naczelnych stanowisk w Akcji Katolickiej. Dobra matka, była jednocześnie niezwykle uczynną kobietą, której dobroć więcej może nawet była znana, aniżeli jej dzieła poetyckie, rozpowszechnione w szczupłym gronie elity kulturalnej.

Wielkopolska imię Marii Paruszewskiej wpisze na najchlubniejsze karty swej przeszłości kulturalnej, ponieważ całym swym życiem Maria Paruszewska zasłużyła na to w zupełności.

Wiosenna transza nowości literackich. Pola Gojawiczyńska kończy dzieje swych „Dziewcząt z Nowolipek" wydaniem drugiego tomu „Rajskiej jabłoni".

Kawiarniana gwiazda, Witold Gombrowicz, jako drugą swą książkę wydaje niesamowitą powieść pod ekscentrycznym tytułem „Ferdydurke".

Po „Szczurach i Żołnierzach" Adolf Rudnicki puszcza w świat „Niekochaną".

Amatorzy niesamowitości znajdą jej pod dostatkiem w nowej książce Brunona Schulza — „Sanatorium pod Klepsydrą".

Opracowana dla „Polskiego Radia" i nadawana co wtorek, powieść Marii Kuncewiczowej pt. „Dni powszednie państwa Kowalskich" ruszy niebawem na podbój czytelników, którzy do tej pory mogli być tylko jej słuchaczami.

Niezwykłym z pochodzenia pisarzem (obok robotnika Jakóba Wojciechowskiego i złodzieja Urka Nachalnika) stanie się niebawem aresztant z więzienia na Świętym

Krzyżu, Sergiusz Piasecki, który zadebiutuje powieścią „Kochanek Wielkiej Niedźwiedzicy".

W czasy starorzymskie obok Jana Parandowskiego cofa się w poszukiwaniu tematu do powieści Teodor Parnicki, który zapowiada „Aecjusza, ostatniego Rzymianina".

Zbiór felietonów sądowych Wiecha (Stefana Wiecheckiego) pt. „Znakiem tego..." ukazał się w trzecim wydaniu; obok niego wydał Wiech dwa tomy następujące: „Wysoka eksmisjo" i „W ząbek czesany".

Nowy przekład Pisma św. Przekłady Pisma św., które w każdej literaturze europejskiej stanowią podwaliny piśmiennictwa w języku krajowym, dokonywane są ciągle na nowo. Nowy przekład polski został ostatecznie uchwalony na Pierwszym Zjeździe Biblistów Polskich w Krakowie. Będzie to dzieło, które pod względem doniosłości kulturalnej równać się będzie mogło przekładowi ks. Jakóba Wujka, uczczonego przez rodzinny Wągrowiec pomnikiem. Ks. Wujek wywarł ogromny wpływ na kształtowanie się języka polskiego; docierał tam, dokąd nigdy by nie trafili najwięksi język ojczystego prawodawcy — Mikołaj Rej i Jan Kochanowski. Dziś jednak jest już w przekładzie ks. Wujka szereg miejsc nienazbyt zrozumiałych, bo język, a właściwie jego barwa znaczeniowa, uległa zmianie. Dlatego zachodzi konieczność dokonania przekładu na nowo, z uwzględnieniem wymagań najnowszej krytyki naukowej. Przekładu poszczególnych ksiąg Pisma św. podjęli się profesorowie biblistyki na naszych uniwersytetach, przy czym niektórzy z nich zobowiązali się wydać przekład, przez siebie dokonany, własnym kosztem.

Sprawa przekładu Pisma św. jest doniosła także z punktu widzenia literackiego, wobec czego trzeba się nią zainteresować i śledzić ją z zainteresowaniem niesłabnącym.

Nowa seria przekładów z polskiego. Nakładem wydawnictwa „Sakalas" w Kownie ukazały się dwa tomy powieści Teodora Jeske-Choińskiego pt. „Gasnące słońce" oraz dwa tomy „Chłopów" Władysława Stanisława Reymonta. Poza tym zapowiedziany jest przekład litewski „Króla trędowatego" Zofii Kossak-Szczuckiej, który ledwie zdążył ukazać się w oryginale polskim i wywołał ożywioną polemikę, trwającą do tej chwili.

Firma wydawnicza L. Mazacz w Pradze wypuściła trzy książki, tłumaczone z polskiego. (Zapowiada w ciągu rb. jeszcze siedem dalszych). Do tej pory do rąk czytelnika polskiego dotarli: Juliusz Kaden-Bandrowski przy pomocy „Miasta mojej matki", Zygmunt Nowakowski przy pomocy „Przylądka Dobrej Nadziei", Maria Dąbrowska przy pomocy „Ludzi stamtąd".

W przeznaczonej dla młodzieży bolszewickiej biblioteczce popularnej jeden z tomików poświęcono „Jankowi muzykantowi" Henryka Sienkiewicza.

„Poezja na cenzurowanym". W ostatnim, przedwakacyjnym numerze „Młodzieży Katolickiej" Wiesław Pyrek pod powyższym tytułem zamieszcza trzeźwy i rozsądny artykuł dyskusyjny, który kończy z młodzieńczą wiarą i nadzieją w sposób następujący:

„To, z czym mamy obecnie w poezji do czynienia... jest właśnie poszukiwaniem nowych dróg. Prawda, niezbyt fortunnym i z pewnych względów nieudałym, ale jest wszakże dowodem nowych, ciekawych prób — dążenia naprzód. A to stokroć lepsze, niż uparte kręcenie się w kółko na jednym miejscu i kopiowanie (nawet) — arcydzieł. Przyznaję się otwarcie: wolę poszukiwać prawdy, chociaż się mogę przez to narazić na popełnienie wielu błędów, niż trwać uparcie na jednym, dotychczas osiągniętym miejscu, nawet gdyby mi to takimi błędami nie groziło. Bo jednak najprostsza droga do prawdy wiedzie częstokroć właśnie przez największe błędy. I dlatego, chociaż miłośnikiem współczesnej poezji nie jestem, jednak ją rozumiem i jej wartość w pełni oceniam. Pewnie: nie mierzyć się jej z romantyzmem, ale niedaleki już czas, kiedy przyjdzie geniusz, co objawi polski styl i wypowie piękno polskiej duszy. Może jeszcze nie został na świat wydany, może jeszcze nie odnalazł swego powołania, a może już tworzy w cichości ducha?"

Kraków ku czci Kazimierza Tetmajera. W Uniwersytecie Jagiellońskim staraniem Związku Literatów Polskich odbył się odczyt Jana Pietrzyckiego z Okazji 50-lecia twórczości poetyckiej Kazimierza Tetmajera. Odczyt uzupełniły recytacje poezji Tetmajera. Zgromadził on liczną publiczność, przedstawicieli krakowskiego świata naukowego i literatów.

Warszawa pominęła ten jubileusz! Warszawskie związki literackie nie zaprotestowały nawet przeciw temu, że jedna z fabryk atramentu wypuściła „Antracen Tetmajera" i opatrzyła go fotografią Tetmajera! Nawet reklama powinna mieć swoje granice. Nadużywanie do niej Tetmajera jest naprawdę nietaktem!

Świętochowski i Paderewski. Amerykański „Saturday Evening Post" drukuje autoryzowane przez Paderewskiego szczegóły z jego życia i twórczości. Jak się z tych artykułów okazuje, słynny na całym świecie menuet Paderewskiego powstał dzięki... Świętochowskiemu. Świętochowski był zwolennikiem muzyki Mozarta i twierdził, że nikt już dziś nie jest w stanie komponować muzyki o takiej czystości dźwięku. Żeby go przekonać, że jednak i teraz jest to najzupełniej możliwe, Paderewski skomponował menueta i zagrał go, jako utwór Mozarta. „Ach, Mozart! — krzyknął rozentuzjazmowany Świętochowski. — Co za wspaniały utwór! Powiedz mi, mój drogi, czy jest dzisiaj ktoś, kto by potrafił napisać taką muzykę?" Podstęp Paderewskiego udał się znakomicie, a uporowi Świętochowskiego literatura fortepianowa zawdzięcza jeden z najpiękniejszych drobiazgów.

Dział Kobiecy

DLA DUSZY

Czyż myślisz, że unikniesz tego, czego żaden z śmiertelnych uniknąć nie mógł? Któryż święty był na tym świecie bez krzyża i bez utrapienia?

A nawet Jezus Chrystus, Pan nasz, jak długo żył, tak długo ani godziny nie był bez boleści i męki. Trzeba było, aby Chrystus cierpiał, aby z martwych powstał i tak wszedł do chwały swojej.

Jakżeż ty śmiesz szukać innej drogi jak tej walnej drogi, którą jest droga Krzyża świętego?

Tomasz a Kempis.
O Naśladowaniu Jezusa Chrystusa.

W LISKOWIE

Przed wielu laty, ogłoszono wystawę prac kobiecych w Kaliszu. Byłam wówczas redaktorką pisma „Nasz Dom", bo tytułu, o który się starałam — „Dom Polski", cenzor nie uwzględnił. A oglądając licznie zebrane eksponaty prac kobiecych, zauważyłam dział, w którym oko ciągnęła głównie niezmiernie staranna ekspozycja dostarczonych przedmiotów, ta sama, która przed rokiem zdumiewała mnie wyróżniającą się dokładnością, na wystawie, jaką w Warszawie zorganizowało Tow. Ziemianek, w której jako członkini dopomagałam do rozmieszczania, nadsyłanych przedmiotów.

Czyje są te, które znów wykończeniem, oznaczeniem ilości metrów, ich szerokości i cen, odrazu ciągną oko.

To wysyłka z Liskowa, to ks. Blizińskiego dział i te sukna i te płótna i te zabawki i te roboty szydełkowe i te zioła suszone i różne drobiazgi, których niezliczyć, wysłał z Liskowa ks. Bliziński. A więc znane imię.

Lisków o kilkanaście mil od Kalisza.

Biorę dorożkę — jadę.

Woźnica rozmowny. Opowiada po drodze o każdej, to na lewo, to na prawo rysującej się siedzibie dworskiej, o każdej niemal chacie widnej z bliska czy z daleka.

— A tu, to już zaczyna się parafia Lisków — pytam?

— A to pani już tu byli?

— Nie. Ale widzę drzewka pięknie sadzone i utrzymane doskonale.

— Bo proszę pani — to nasz proboszcz. Dzieciaki sadza, pilnują, chodzą koło tego niby koło szkła. Bo niechby uschło. Rozgrzeszenia ks. proboszcz nie da przy spowiedzi świętej. W Liskowie — odpust. Bryczek, wozów, kałamaszek różnego typu koło kościoła nie naliczyć. Jest i powóz jeden, drugi. Miejska może doróżka — jedna.

W kościele grzmi orkiestra. Trąby ryczą, ludzie krzyczą, żeby instrumenty należycie uhonorować.

Nabożeństwo pełne powagi kończy się. Ksiądz idzie do zakrystii i barwne fale ludzi płynące z kościoła zaraz wzywają skoczne tony zza świątyni, spoza jej obejścia. Wesoły krakowiak oznajmia że sklep „Domu Ludowego" już rozwarł swe podwoje. Sklep, w którym dostaniesz wszystkiego, prócz wódki, wina owocowego tylko na wesele lub na chrzciny. — W tymże domu obszerna sala ze scenką — na zabawy.

Na górze miejsce dla sierotek, gdzie skrzętne pielęgniarki otaczają opieką opuszczone biedne dzieci.

Czcigodny ks. proboszcz, wówczas poseł na Sejm w Warszawie, przyjmuje mnie gościnnie. Po obiedzie, w towarzystwie kilku księży przybyłych na odpust — ks. poseł oprowadza mnie po terenie swego probostwa. Tu, obok kościoła — wybielony schludny czworaczek; to dla starców zniedołężniałych schron. A tu, fabryka zabawek, także w domku niby z kart.

— Te sierotki w Domu Ludowym, to tylko tymczasem tam umieściłem, będzie dla nich osobne miejsce.

— A tu — na tym placyku — będzie pralnia, kąpiele i piekarnie. Jedno paliwo na trzy użytki.

— Czy to już grunt probostwa? — pytam.

— Jeszcze nie, ale mam tu dobrodziejstw niemało. To już mam przez zacną dziedziczkę przyrzeczone, to jakby nasze. A tam, na prawo, gdzie ta rudera już niezamieszkalna — stanie nowa szkoła. Na szkołę dadzą ziemianie. Ofiarność jednych idzie zawsze z wysiłkiem pracy drugich. Na wszystko znajdzie się i grunt i pieniądze, byle robić, byle nie ustawać.

I tak, od miejsca do miejsca, z których każde miało swe przeznaczenie, wybudowane w duszy miłującego kraj i ludzi człowieka, zeszło nam kilka godzin, po których o zachodzie słońca wracałam do Kalisza pełna uwielbienia dla ks. proboszcza, który otoczony miłością parafian i ogólnym uznaniem, nie cofał się przed niczym, co mogło stanowić podstawy do rozwoju dobra ogólnego.

Dziś na tych samych miejscach, na których stały małe wybielone, ale ciasne czworaki, stoją szkoły, gimnazja, furkocą warsztaty, wznosi się piękna szkoła rolniczo-mleczarska, przekazana Łódzkiej Izbie Rolniczej. Sama ilość sekcji — świadczy o wielostronnej pracy w Liskowie. Sprawozdania na zebraniu ogólnym, przed otwarciem wystawy, której miano było „praca i kultura wsi w Liskowie" składali przewodniczący poszczególnych sekcji: nacz. Jellinek, samorządowej, ks. Starkiewicz przemysłu wiejskiego, ins. Borzecki — oświaty i szkolnictwa, spółdzielczej — dyr. Chojnowski z Warszawy, rad. Przedpełski — opieki społecznej, prof Kwiatkowski — etnograficznej, red J. Pietrzycki — propagandy prasowej. ins. Zieliński — budownictwa i walki z ogniem, dr. Staśkiewicz — lecznictwa, ks. Kwiatkowski

— gospodarczej, dyr. Kawczak — rolniczej, red. Zembrzuski — zjazdowej i dyr. Krokowski — rozrywkowo-widowiskowej.

Wieś zamieniła się we wzorową osadę, w której twórcza myśl jednego człowieka, znalazła oddźwięk wśród ludzi dobrej woli, okolicznych ziemian, gospodarzy, szarego człowieka, idących z ofiarną pomocą gruntu, grosza, własnej pracy, byle stworzyć całość tak wzorową, jaką wymarzył w swej szlachetnej duszy ks. prałat W. Bliziński w Liskowie. A którą podziwiają na zorganizowanej wystawie tysiączne rzesze przyjezdnych i czerpią niezawodnie zachętę do pracy, każdy na swym zagonie.

Wielebny ks. prałat, zawsze był skromny i ubogi sługa Boży. Ale był bogaczem udarowanym niezrównaną siłą charakteru, woli, postanowieniem i wytrwaniem pokonał zawsze wszystkie trudności, spełnił zamiary, z pomocą ludzi dobrej woli, którzy to ocenili. Zawsze zwyciężał każdą przeszkodę, nie bojąc się trudu, bo nad wszystko ukochał dobro kraju i narodu, którym niósł pomoc w ich rozwoju według nakazów swej szlachetnej duszy, napełnionej siłą twórczą przez Boga.

L. Kotarbińska.

WYSTAWA MORSKA I KOLONIALNA W POMARAŃCZARNI

Uważając pracę propagandowo-uświadamiającą w stosunku do spraw morza i zagadnień kolonialnych za podstawową wśród rzesz uczącej się młodzieży, organizatorzy wystawy postawili sobie za cel zetknąć tę młodzież z żywymi pokazami morza i floty kolonialnej.

W 47 akwariach zaprezentowano okazy żyjątek z mórz i oceanów, a trzeba wiedzieć, że niektóre z nich sprowadzone zostały z okolic Meksyku, Japonii, archipelagu malajskiego i z innych egzotycznych stron świata. W sposób systematyczny ujęto uprawę roślin użytkowych kolonialnych, najbardziej charakterystycznych. W ten sposób stało się zadość poglądowemu poznaniu przez młodzież ciekawych przejawów życia na dnie morza.

Dziatwa szkół powszechnych miała dla siebie wiele zainteresowań, oglądając modele okrętów, statków i łodzi podwodnych. Okazy rosnącego ryżu, kakao, pieprzu, trzciny cukrowej, kawy, ananasów itp.

Nic też dziwnego, że dotąd zwiedziło wystawę 43 tysiące młodzieży ze szkół średnich i powszechnych. A stali instruktorzy, poszczególnych działów na wystawie objaśniali przystępnie i jasno zgromadzoną młodzież o znaczeniu kolonii, o konieczności ich zdobycia dla zdobycia jednocześnie surowców niezbędnych dla potrzeb marynarki wojennej, dalszej rozbudowy Gdyni itd.

Na czele Komitetu Organizacyjnego, stanął niezmordowany w pracy a niedościgniony w jej umiłowaniu p. Dr Teofil Szczerba, któremu dzielnie pomagali p. St. Gabiel, kierownik artystyczny wystawy i p. Janusz Kączkowski kierownik działu przyrodniczego.

Tego rodzaju pokazy są niezmiernie potrzebne, żywo przemawiają do wyobraźni i wzbudzają ciekawość do nowych dla umysłów naszych dzieci spraw, a tak ważnych dla naszego normalnego rozwoju w każdym kierunku.

K.

PRAWDZIWY WYPOCZYNEK W WILDZE NAD WISŁĄ

Oczywiście, kto jest związany ze stolicą tak, że może tylko dopadkami korzystać ze świeżego, odżywczego powietrza, ten musi szukać dla swej rodziny mieszkania na letnie miesiące jak najbliżej Warszawy i jak najlepszego i najłatwiejszego połączenia, aby nie tracić ani chwili na rozkoszowanie się ciszą i aromatami powietrza zamiejskiego. Ale jest dużo miejscowości, w których włąśnie dla tego jest dobry i prawdziwy wypoczynek, że nie dochodzi żadne echo z gwaru miejskiego.

Taki wypoczynek daje właśnie olbrzymi szmat ziemi, przeznaczony na parcelacje działkową, pokryty lasem i, jakkolwiek w zacznej części już rozkupiony, jeszcze bardzo niewiele zabudowany, co jest jednym z uroków Wilgi nad Wisłą, w której tylko co spędziliśmy dzień na wycieczce pełen uroku jaki daje każde z naturą zetknięcie.

Spędziliśmy przyjeżdżając autokarem we dwadzieścia osób i zastaliśmy na wypoczynek, piękne i gościnne przyjęcie w domu należącym do spółdzielni pracowników umysłowych pn. „Współpraca".

W domu nowym, wyposażonym we wszystkie udogodnienia miejskie a więc: kanalizację, elektryczność, śliczne pokoiki dla zamieszkujących je letników, telefon i własne auto, na żądanie, i doskonałą gospodarkę, bo po przejechaniu kilkudziesięciu kilometrów, rozkoszowaliśmy się obiadem, w oszklonej werandzie ładnie podanym, a smakowitym i obfitym, z doskonałą obsługą i gościnnością jako najlepszą przyprawą.

Wszystko to każdy ma, kto osiądzie na lato w pensjonacie „Współpracy", co jest ze wszech miar zachęcające, bo nie tylko las, nie tylko cisza, nie tylko wylakierowane biało pokoiki i piękna pościel tam czekają na gościa, ale i cena przystępna stanowi prawdziwą niespodziankę. Za wszystkie te rozkosze, które się znajduje na miejscu, płaci się tylko 4 zł 50 gr.

Taniej trudno.

Adres administracji w Warszawie: Aleje Jerozolimskie 34, m. 5, telefon 258-60.

Komunikacja następująca: Do Garwolina wyjazd koleją, skąd 16 kilometrów piękną drogą samochodem, do pensjonatu, zapewniającego wszelką wygodę. Niezwykle piękne zadrzewienia lasu mieszanego, jakby go kto umyślnie sadził dla uciechy przybysza z miasta stwarza wrażenie olbrzymiego parku. Drzewa iglaste ciemne stanowią tło dla ślicznych brzóz. Z gęstych zielonych liściastych podrzewek strzelają wysoko sosny masztowe. Solidne dęby mają za towarzyszki drżące osiki, a kwiecia na dywanie zielonej podściółki — bez liku.

Czego więcej chcieć! Jechać do Wilgi jak najprędzej i rozkoszować się jej urokami, Bożą ręką hojnie rzuconymi na tym szmacie ziemi — nad Wisłą.

K.

ECHO Z AMERYKI

W rubryce ze świata „Kuriera Warszawskiego" czytamy co następuje i dzielimy te wiadomości z naszymi Sz. Czytelniczkami. Otóż:

„Zebranie Stowarzyszenia Księży Polskich Zachodniej Pennsylwanii, które odbyło się w Pittsburgu, uchwaliło jednomyślnie następujące rezolucje w sprawie pracy wśród młodzieży:

„Stowarzyszenie Księży Polskich postanawia zwrócić szczególną uwagę na wychowanie młodzieży w duchu narodowym, w celu utrzymania jej przy Kościele katolickim i przy parafiach polskich oraz uchronienia od wpływów, obcych religii Chrystusowej i narodowi polskiemu, przez:

a) poświęcenie kilku minut w kazaniach niedzielnych sprawom młodzieży;

b) podchodzenie do niej drogą zrozumienia jej umysłowości, potrzeb i zainteresowań;

c) zachęcanie i pomoc w organizowaniu klubów oraz dążenie do łączenia ich w federację młodzieży polskiej;

d) centralizację pracy nad młodzieżą przez zakładanie świetlic we wszystkich większych środowiskach polskich;

e) udzielanie pomocy istniejących organizacjom młodzieży w Pittsburgu w ich akcji świetlicowej w jak najszerszym zakresie, popierając w szczególności pracę niedawno powstałej tutaj Federacji młodzieży polskiej".

Niewątpliwie piękny ten odruch Stowarzyszenia Księży Polskich Zachodniej Pennsylwanii podziela całe duchowieństwo polskie w Stanach Zjednoczonych i zapobiega wynarodowieniu się Polaków, w czym zespala się działanie duchowieństwa polskiego na obcej ziemi z bardzo dzielnie pracującym w tym zakresie naszym związkiem, organizującym wszystkich Polaków z zagranicy. Jest ich na szerokim świecie osiem milionów, a zjazdy organizowane w Warszawie są zawsze żywym dokumentem ich przynależności do Polski.

„Jesteśmy lojalnymi obywatelami ziem, które nas przygarnęły, kiedy zmuszeni opuszczaliśmy nasze zagony, ale nie przestajemy miłować ziemi rodzinnej i pamiętamy zawsze że jesteśmy Polakami". Tak nam mówili przy rozstaniu w sali sejmowej ci, którzy w setkach zjechali się na zjazd do Warszawy, a którzy stale składają nam dowody, że szlachetne uczucia nie znają ani czasu, ani przestrzeni i choć dalecy, są nam zawsze — bliscy.

K.

DO SAMOTNYCH KOBIET

Inteligentne, pracujące, przejęte duchem religijnym i społecznym kobiety! Stańcie z nami w jednym szeregu do pracy, bądźcie nam pomocą czynną przez współpracę, stosunki lub środki materialne, z dobrą wolą zechciejcie ofiarnością swoją poprzeć naszą instytucję.

Brak rąk do pracy wpływa na zwłokę w urzeczywistnieniu naszych planów, a praca już jest daleko posunięta. Tworzymy „Dom dla Samotnych Kobiet" z atmosferą religijną i rodzinną, zapoczątkowane są warsztaty pracy, które dadzą możność zarobkowania bezroboczym i pomogą do idei samowystarczalności tego domu.

O dobrodziejstwie zaś takiej placówki mówią nam nie tylko artykuły znanych działaczek społecznych, ale słowa i otrzymywane przez nas listy z różnych stron kraju od kobiet, wzdychających do takiego „swego" kąta pewnego do końca życia. Dom ten skupiałby zasoby, środki, siły i zdolności, marnujące się nieprodukcyjnie.

Czekamy oddźwięku na to wezwanie w sercach, rozumiejących i odczuwających tę palącą kwestię kobiet samotnych względem tych, które nie mają nikogo na świecie ani żadnego oparcia.

„I Koło im. Wandy Malczewskiej".

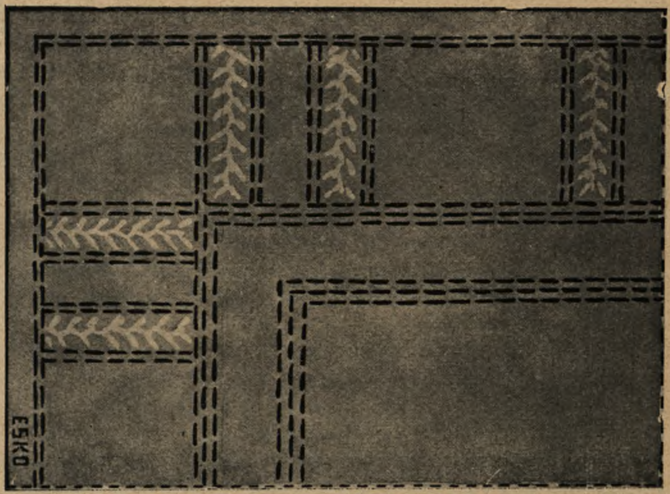
Sekretariat czynny we wtorki i piątki od godz. 5 do 6 przy ul. Szpitalnej nr 7, m. 10.

SERWETKA HAFTOWANA NA SZARYM ALBO KOLOROWYM PŁÓTNIE

Wielkości serwetki nie oznaczamy, ponieważ do woli można motywy powtarzać. Serwetka jest łatwa do wykonania, oparta na ściegach biegnących wzdłuż nitek płótna, co obecnie bardzo zalecane w hafcie.

Naokoło serwetki dać obręb wyciągnąwszy wpierw nitkę przy której obrębiamy — następnie wyciągnąć po jednej nitce na wszystkich prostych liniach i po nich haftujemy, co znacznie ułatwia pracę. Na próbkach dana naturalna wielkość ściegów.





Haftować bawełną coton perlé Nr 5 w motkach, dwoma odcieniami np. czarnym z czerwonym, albo pomarańczowym, granatowym z żółtym albo jasnoniebieskim, brązowym z żółtym, oba kolory muszą być bardzo kontrastowe.

E. K. O.

SUKNIA Z ŻAKIECIKIEM

Suknia uszyta z wzorzystego jedwabiu. Może być noszona bez kołnierzyka, albo z białym fantazyjnym kołnierzykiem, suknia jest uszyta bez rękawów — osobno figarko z rękawami z tego samego materiału i żakiecik z flory w tym samym kolorze co tło sukni, tylko znacznie w jaśniejszym odcieniu. Przy tej kombinacji otrzymujemy trzy odrębne całości. Osobno kołnierzyk wykonany z tasiemek — góra spleciona, zapięta z tyłu, a do niej przyszyte wiszące tasiemki. Jest to modne wykończenie sukienki. Drugi model to długi żabot do żakietu.





SUKNIA SPACEROWA

Można ją wykonać z lekkiej wełny, albo bawełnianego materiału przerabianego jedwabiem, doskonale się pierze. Naokoło szyi rulonik z georgetty. Pelerynka w jaśniejszym odcieniu, z aplikacją z materiału sukni dopełnia toaletę. Osobno podajemy parę modnych drobiazgów.

E. Kotwicz-Onichimowska.

Z GOSPODARSTWA DOMOWEGO

ZBIERAJMY ZIOŁA.

Najpoważniejsi lekarze świata stwierdzają konieczność powrotu do naturalnych środków leczniczych.

Obok preparatów chemicznych, są wyciągi czysto roślinne, silnie skoncentrowane, a więc łatwe do przyjmowania, które oddają w lecznictwie olbrzymie usługi.

Niezależnie od nich jednak są tysiące słabiej działających ziół, które przy zbadanych już właściwościach, mają wiele nieznanych jeszcze, wpływających dodatnio na organizm i dających w pewnych zestawieniach leki o wysokiej wartości, i jednocześnie tak skomplikowanej budowie, że zastąpienie ich przez produkty chemiczne jest niemożliwe. Charakterystycznym takim przykładem jest kwestia witamin.

Badania nad budową chemiczną witamin wykazały, że w tej dziedzinie jesteśmy prawie wyłącznie zależni od roślin, które są głównym ich źródłem. Poza tym związki organiczne roślin odznaczają się łatwą przyswajalnością przez organizm ludzki. Zioła można by nazwać lekami dietetycznymi, gdyż przez nie uzupełniamy i naprawiamy braki naszych pokarmów.

Za dodatnią stronę lecznictwa ziołowego uważać należy fakt, że zioła, którymi posługuje się od szeregu pokoleń medycyna ludowa, są środkami łagodnie działającymi, nietrującymi i niewywierającymi na organizm ludzki ujemnego pobocznego działania. Zioła nie wykazują gwałtownego efektu, lecz powodują powolne przemiany, toteż pomagają przede wszystkim w chorobach wadliwej przemiany materii, która znów jest wynikiem nieracjonalnego odżywiania. Kuracja ziołowa będzie więc polegała na pobudzeniu do bardziej intensywnego działania organów trawienia i wydalania.

Dokładne zatem poznanie właściwości poszczególnych ziół, ich działania i sposobów użytkowania odda nieocenione usługi pani domu, w jej ręku bowiem leży inicjatywa i zachęcanie otoczenia do pracy nad poznawaniem ziół i ich właściwości.

Istnieje już cała nader bogata literatura na świecie, ułatwiająca rozpoznawanie, zbieranie, suszenie i przechowywanie ziół.

W Polsce pionierem ziołoznawstwa jest Mgr. Jan Biegański, którego książki oddają nieocenione usługi osobom interesującym się ziołami[1]).

Pragniemy zwrócić uwagę pań domu na niewyzyskany dostatecznie ten dział pracy gospodarskiej i na wielką oszczędność, jaka wypłynąć by mogła z racjonalnego zbierania ziół, choćby na użytek własnej rodziny.

Kilka wskazówek dla zbierających zioła.

Zbierać należy tylko określone zioła i w takich ilościach, w jakich potrzeba.

Zbierać tylko zdrowe części ziół.

Zbierać jedynie w suchym dniu, kiedy rośliny pozbyły się rosy i wszelkiej wilgoci.

Zbierać rośliny w odpowiedniej chwili rozwoju.

Uważać na czas kwitnienia (przeważnie najsilniej działają zioła na początku kwitnienia).

Sprawdzić jeszcze raz, czy zebrano właściwe zioła.

Suszyć należy zioła w cieniu, w naturalnym cieple, na przewiewie, aby zachowały kolor i aromat.

Najwygodniej krajać zioła, gdy do połowy przeschły.

Przy suszeniu często przewracać, by zioła równo schły.

Przechowywać zioła w woreczkach płóciennych.

Wszystkie zioła najlepiej zaparzać w rozgrzanym imbryczku kamiennym lub porcelanowym i zostawić przez 15 minut, aby naciągnęły. Na szklankę wody bierzemy łyżkę drobno pokrajanych ziół.

Pić zioła na czczo i na noc.

Podajemy kilka mieszanek ziołowych złożonych z najbardziej znanych roślin, należy dobierać jak najwięcej gatunków, działających podobnie.

Ziółka lekko przeczyszczające: nasiona kopru mielonego, jagody jałowcowe pogniecione, nasiona kozieradki, cała roślina powoju letniego, kwiaty tarniny, bez czarny (kwiaty i owoce), marzanka, kwiat nagietka, listki senesowe w równych częściach.

Ziółka wzmacniające trawienie i pobudzające apetyt: piołun, szałwia, tysiącznik, rumianek rzymski, rumianek zwykły, pokrzywa, mięta, dzięgiel, świętojańskie ziele, krwawnik, skrzyp, majeranek, liście orzecha włoskiego, babka, podróżnik lekarski, dymnica lekarska, nostrzyk, korzeń tataraku, żółta skórka pomarańczy w równych częściach.

Ziołka tzw. atretyczne.

Liście czarnych jagód, kwiatu świętojańskiego ziela, kwiatu koniczyny białej, kwiatu arniki, jagód jałowcowych, mięty wodnej, waleriany, kwiatu chabru, nagietku, jaskółczego ziela, tysiącznika, szanty, wrotyczu, kruszyny (kora), nasiona karolku, owoców głogu, perzu w równych częściach.

Ziołka na kąpiel.

Tataraku, perzu, pokrzywy głuchej, skrzypu.

Ziółka moczopędne: liście brzozowe, jasnota czyli pokrzywa głucha, rozłogi perzu (podwójna ilość), ogonki wiśni, liście borówkowe, tawuła błotna, ogórecznik, przytulia, blizny (włosy) kukurydzy, rumianek, świętojańskie ziele, krwawnik, kora i liście porzeczki czarnej, tobołki pasterskie, owoce bzu dzikiego, szałwia, korzenie waleriany, łopian w równych częściach.

Ziółka, działające czyszcząco na krew: kwiaty bzu dzikiego, kwiaty akacji białej, pokrzywa, ogórecznik, tawuła błotna, tysiącznik, ślaz, dzięgiel, świętojańskie ziele, krwawnik, lipowy kwiat, macierzanka, nostrzyk lekarski, dymnica lekarska, lawenda, ogonki wiśni, skrzyp polny, powój letni, rozmaryn, rdest, liście jeżyny, liście orzecha włoskiego, bratki polne, liście poziomkowe, podróżnik lekarski, wrotycz, piołun, bukwica lekarska, rozłogi perzu, ziarna jałowca, melissa, gałązki głogu, strączyny fasoli, szałwia w równych częściach.

Ziółka, bogate w śluz, ułatwiające odrzucanie flegmy: ślazik polny, fiołek pachnący, melissa, mech islandski, płucnik, nasiona anyżu, bukwica lekarska, lukrecja, miodunka lekarska, nostrzyk lekarski, jamioła biała, powój letni, macierzanka, babka, podbiał, kozieradka, kwiaty dziewanny, kwiat lipowy, koniczyna biała w równych częściach.

Ziółka uspakajające nerwy: korzeń bylicy pospolitej, rumianek, korzeń dryjakwi, jemioła, korzeń kozłka (waleriany) lekarskiego, melisa, lipowy kwiat, marzanka, kwiat pomarańczowy, dzięgiel w równych częściach.

Wszystkie te mieszanki ziołowe działają powoli, nie należy się tym zrażać, zaszkodzić nie mogą, pomogą zaś napewno.

W. Ładzina.

---

*) Mgr Jan Biegański, ,,Nasze zioła i leczenie się nimi", ,,Zielarz", ,,Hodowla ziół lekarskich".

TORT GRYSIKOWY OSZCZĘDNY.

3 żółtka utrzeć z 14 dk. cukru, dodać sok i utartą skórkę z ½ cytryny, 10 dk. kaszki manny surowej, 3 białka ubite na pianę. Wymięszać i upiec w tortownicy masłem wysmarowanej. Przeciąć w poprzek. Nałożyć marmeladą i polukrować białym lukrem. *Lukier biały:* Ugotować 15 dk. cukru na gęsty syrop, wlać sok z ½ cytryny i ucierać do białości. Zaraz smarować na tort.

W. Ł.

CO KAŻDA Z NAS WIEDZIEĆ POWINNA?

Wiedzieć trzeba, że chociaż ostatnie zebranie „Pań Domu" miało miejsce 4 czerwca, a pogadankę o przetworach owocowych i jarzynowych wygłosiła na nim p. Albrechtówna, to jednak wzorownia Związku otwarta będzie przez miesiące lipiec i sierpień.

Wydziały Związku wznowią swą działalność od 1 września rb.

Wydział Pracownic Domowych przypomina paniom o prowadzonej przez Inspektorat Szkół Miejskich bezpłatnej wieczorowej szkole dla pracownic domowych. Wiadomość: ul. Kazimierzowska 60, na Mokotowie, tel. 891-23 od godz. 18—20 po poł.

Wiedzieć trzeba, że mamy: „Szkołę wychowawczyń domowych". przy ulicy Teresińskiej 9, na Czerniakowie.

Brak wykwalifikowanych wychowawczyń jest tak dotkliwą bolączką, że wiele rodzin odetchnie z ulgą na wiadomość, że oto druga już szkoła kształci takie fachowczynie, którym z całym zaufaniem można dzieci powierzyć.

Szkoły przysposobienia zawodowego na ul. Teresińskiej kształcą też w prowadzeniu gospodarstw rodzinnych, w krawiectwie i bieliźniarstwie, mają znakomicie postawiony dział siatkarstwa (firanki) i haftów wszelkiego rodzaju, zdobiących piękne prace uczennic.

Wystawa, jaka była urządzona w szkole ukazała wzorowy „kącik dziecka" w mieszkaniu, tablice zestawień pokarmów, wyprawki dziecka itp.

Nie jest wstydem nie umieć czegoś, jest tylko wstydem, nie chcieć się uczyć. A w zawodowe wiadomości niemal wszystkie nie jesteśmy zasobne. Dobre gospodarstwo ich wymaga. Uczmy się na gwałt!

CO ROBIĄ NASZE KOBIETY?

Rada Narodowa Kobiet reprezentująca 26 organizacji kobiecych na terenie R. P. uznając za słuszną sprawę pracę nad reformą naszego szkolnictwa, opracowała szereg postulatów, które powinny być przychylnie przyjęte przez władze szkolne, samorządy miejskie i gospodarcze pracujące w tym zakresie. Uznając w pełni, konieczność kształcenia zawodowego kobiet ze szczególną uwagą na rozszerzenie ram i programów w dziale szkół przemysłowych, Rada Narodowa Polek domaga się:



1. Zaniechania likwidacji szkół i działów takich jak: hafciarstwo, koronkarstwo, tkactwo ręczne, trykotarstwo, introligatorstwo, fryzjerstwo, galanterię skórzaną itd.

2. Rozszerzenia przy realizowaniu reformy szkolnej zakresu zawodów przemysłowych, szkolących kobiety przez otwieranie odpowiednich szkół i kursów.

3. Otwarcia dziewczętom wstępu do istniejących i świeżo zakładanych lub reorganizowanych szkół przemysłowych męskich (koedukacja, żeńskie oddziały lub kursy).

Wśród dotychczas istniejących i projektowanych szkół przemysłowych nie widzi Rada Narodowa Polek dostatecznego uwzględnienia potrzeb kobiet w zakresie szkolnictwa stopnia licealnego. Absolwentki gimnazjów ogólnokształcących nie będą mogły w tych warunkach kształcić się zawodowo w działach rzemiosła i przemysłu, odpowiadających ich zamiłowaniom i uzdolnieniom:

Przekształcenie szkół przemysłowych dawnego typu na szkoły niższe, względnie nowego ustroju, uważa Rada Nar. Polek za w wysokim stopniu niewskazane w ośrodkach miejskich większych. Szkoły niższe nie odpowiadają bowiem ani przygotowaniu podstawowemu dziewcząt, które z reguły kończą w tych ośrodkach szkoły powszechne najwyższego stopnia organizacyjnego, ani aspiracjom młodzieży i ich rodzin, gdyż nie dają dostatecznego wykształcenia ogólnego i teoretyczno-zawodowego i zamykają faktycznie drogę do dalszego kształcenia się najzdolniejszej młodzieży.

Rada Narodowa Polek ma pełną nadzieję, że na doświadczeniu oparte postulaty, znajdą posłuch u władz odnośnych, jeśli nie natychmiast — to w niedalekiej przyszłości, czym niezawodnie przyczynią się do rozwoju gospodarczego, bo są dyktowane najlepszą wolą.



P. Jadwiga Dmochowska na kongresie międzynarodowym rolniczym w Hadze, gdzie występuje jako referentka sprawy zdrowia wsi, prowadząc tę akcję w Stow. Zjedn. Ziemianek, powołaną została na wiceprzewodniczącą sekcji kobiecej kongresu.

Zjazd delegatek Katolickiego Stow. Kobiet odbył się w Łucku. Zjechały się kobiety z całego Wołynia. Zjazd, w którym wzięło udział 1.000 osób rozpoczął się mszą św. w katedrze. Zjazd i kurs dla kierownictwa zaszczycali swą obecnością JE. Ks. Biskup Szelążek i JE. Ks. Biskup Walczykiewicz. Na kursie dla kierownictw wygłoszono referaty natury religijnej, społecznej i organizacyjnej. Prelegentami byli: z zamiejscowych działaczy Akcji Katolickiej pp. dr Śliwińska-Zarzecka z Warszawy i Janina Strawińska z Poznania, a z miejscowych ks. dr Karpiński, ks. prof. Bukowiński i in. Podczas zjazdu uczestniczki przystąpiły do wspólnej spowiedzi i Komunii św.

KĄCIK DLA DZIECI

ŻOKO

Wielka była radość Marysi i Jurka, gdy mamusia powiedziała im, że wraca z Ameryki wujek Stach. Bardzo dzieci wujka tego kochały, bawił się z nimi zawsze jak ich rówieśnik, a jakie zabawy umiał wymyślać. Tęskniły też za nim bardzo, gdyż upłynęło prawie dwa lata, jak wyjechał z wyprawą naukową do Południowej Ameryki. Ucieszyły się też niezmiernie, i z tego, że wraca dawno niewidziany wujek i z tego też, że przywiezie różne ładne rzeczy, które im w listach obiecywał. Witały też wujka takimi uściskami i dzikimi okrzykami, że ten roześmiany powiedział w końcu.

— Mam wrażenie, że znów dostałem się między dzikich Indian. Dajcie mi trochę odsapnąć i przywitać się z rodzicami, a tymczasem rozpakujcie tę walizeczkę, to wszystko co w środku to dla was. — Nie trzeba było dzieciom tego dwa razy powtarzać, gorliwie zabrały się do rozpakowania walizki i z radosnymi okrzykami podbiegały co chwilę do wujka, żądając wytłumaczenia lub pokazując różne cuda. Wreszcie doszły do dna walizki i jeszcze raz oglądając wszystko po kolei układać na nowo zaczęły. — Chodźcie no tu — zawołał nagle wujek — zostawcie te rzeczy, potem wam wszystko objaśnię, a teraz chcę wam coś pokazać. — Na to wezwanie zostawiły dzieci skarby i podbiegły do wujka, który siedział przy stole z rodzicami i babunią; ale przed wujkiem na stole siedziało coś jeszcze, małego pokrytego ślicznym jedwabistym włosem i żółtymi jak bursztynki oczkami, patrzyło z zaciekawieniem na dzieci. Małpeczka! — wykrzyknęły i aż pokraśniały z zachwytu — wujku! to dla nas, naprawdę, że dla nas? —

— Dla was i nie dla was! — odparł wujek. Przywiozłem trochę okazów do ogrodu zoologicznego i ta małpeczka, też tam miała powędrować, ale taka jest miła i oswojona, że przyszło mi do głowy, żeby ją wam ofiarować, musiałem się jednak najpierw spytać rodziców, czy chcą mieć taką lokatorkę w domu.

— Chcą, chcą! — wykrzyknął Jurek, a Marysia rzuciła się tatusiowi na szyję i pytała błagalnie: — Prawda, że ty chcesz tatusiu, że ty chcesz? — Tatuś spojrzał porozumiewawczo na babkę i mamusię i odpowiedział, uśmiechając się lekko: — Tak, bardzo to nie pragnę tego gościa egzotycznego, nie wiadomo co to za licho! — ale widząc zatrapione minki dzieci, dodał: — ale o ile nie będzie przeszkadzać w nauce... Nie będzie, nie będzie.... zapewniły dzieci... to może chwilowo zostać. No i jeszcze jeden warunek, jeśliby z jakichkolwiek powodów, np. małpeczce nie służyłby pobyt u nas, lub za bardzo psociła, chcielibyśmy ją oddać tam, gdzie była od początku przeznaczona tj. do ogrodu zoologicznego, nie będziecie się sprzeciwiać. Dobrze tatusiu, przy-

rzekamy! — wykrzyknęli oboje. — No, to teraz, skoro sprawa formalna już załatwiona — odezwał się wujek — pozwólcie, że przedstawię wam tę nową lokatorkę.

Nazywa się Żoko, pochodzi z rodziny małpeczek, z trochę większych okazów — jest to małpeczka jedwabista, urodziła się w Południowej Ameryce. Najmniejsza jej kuzynka, brazylijska Uistiti ma wzrostu 18 cm., ale ta jak widzicie jest większa i łatwiejsza do chowania. Skąd ją wziąłem? Nie kupiłem jej, znalazłem ją w puszczy siedziała przy zwłokach matki, nie wiem co spowodowało śmierć tej małpki, ale maleństwo było wycieńczone i pół żywe z głodu, tak, że dało mi się wziąć do ręki bez żadnego oporu. Z początku karmiłem ją flaszeczką, ale kiedyś odgryzła smoczek, który i tak był sporządzony sztucznie, bo na karmienie niemowląt podczas naszej wyprawy nie byliśmy przygotowani, wobec tego musiała się nauczyć pić z garnuszka, co zresztą bardzo łatwo poszło. A teraz Żoko podaj rączkę i przywitaj się. Żoko z powagą wyciągnęła rączkę i podała wszystkim obecnym po kolei, ale wyraz jej pyszczka mówił stanowczo: — „Uważam to za niepotrzebne, ale skoro tak trzeba, mogę to zrobić” — pewno myślała, że małpie obyczaje są o wiele lepsze.

Żoko bardzo szybko poprzyjaźniła się z dziećmi i wszystkimi w domu, dwie tylko osoby nie cieszyły się jej sympatią, a to stara francuska madame Blanche i gruba kucharka Onuferka, natomiast pokojówka Antosia, w wielkich była łaskach małpeczki, gdy tylko weszła Antosia do pokoju, zaraz Żoko wyskakiwała naprzeciw niej, i trzymając się oburącz za brzuszek, kiwała się w tył i naprzód mlaszcząc przy tym z zapałem języczkiem — był to dowód największej sympatii z jej strony, tak zwane przez dzieci: „słodkie minki”. Za to madame Blanche była traktowana pogardliwie, ilekroć weszła do pokoju, Żoko wyskakiwała na krzesło i wykrzywiała się brzydko, wydając przy tym przeraźliwe piski, nie cieszyła się też sympatią Francuzki, szczególniej od czasu, gdy Żoko, lubiąca podglądać ludzi i naśladować ich czynności, wpadła kiedyś podczas obiadu do pokoju obwinięta w szalik madame Blanche i rozejrzawszy się wokoło złapała miseczkę z miałkim cukrem i stanąwszy przed lustrem zaczęła szybko pudrować sobie pyszczek, karykaturalnie naśladując ruchy Francuzki. Onuferka pędziła ją z kuchni ścierką, nazywając „cisawą kotką z ludzką twarzą”, albo „półdiabłem”.

Im bardziej ją wypędzała, tym częściej Żoko wpadała do kuchni psocąc zawzięcie, to odkręciła kran w kuchni i uciekając przed słuszną karą wpadła w garnek pełen zsiadłego mleka, to złapawszy kurczaka przyniesionego z targu, tak go czule niańczyć i tulić zaczęła, że biedne kurczę, choć mało co mniejsze od małpeczki mało nie zdechło w pierwszej chwili ze strachu, a gdy oprzytomniało dziobnęło tak energicznie przygodną nianię, że biedna Żoko krwią się zalała. Kiedyś mały kociaczek, ukochany Onuferki pieszczoch, wpadł do balii pełnej wody, nim Onuferka dobiegła, Żoko wykonała misterny skok i wyciągnęła nieszczęsnego topielca, ale widząc jak jest mokry, bez namysłu położyła go ostróżnie na rozpaloną blachę, prawdopodobnie, żeby wysechł; ale gorsze było to, że broniła zażarcie dostępu do półprzytomnego kociaka, który zaczął się przypalać, dopiero zarzucono ścierkę na łepek niefortunnej pielęgniarki i wyniósłszy ją do pokoju uratowano życie biednemu topielcowi. Psociła Żoko i dzieciom, ale te rozmiłowane w małpeczce wszystko cierpliwie znosiły. Aż raz przyszedł poważny pan, dość rzadki gość z psem, też już niemłodym dosyć opasłym pudlem. Żoko, gdy zobaczyła psa, zaczęła wydawać niesamowite piski i wyskoczywszy najpierw na biurko pana domu, a potem na piec, zaczęła rzucać w psa wszystkim co jej pod rękę wpadło, wreszcie kawałkiem wapna odłupanym z pieca tak rzuciła nieszczęśliwie, że trafiła w sam koniec nosa poważnego gościa, który zawrzał oburzeniem i krzyknąwszy „ordynarne zwierzę”, wypadł z pokoju trzymając się za uszkodzony nos. Zaczęło się polowanie na Żoko, która przeskakiwała z mebla na mebel, nie dając się schwycić, dzieci krzyczały, małpeczka piszczała, pies szczekał, harmider był nieopisany, wtem Żoko wykonała niefortunny skok i spadła wprost na plecy pudla, pies przerażony rzucać się jął na wsze strony, małpeczka nie mniej wylęknięta trzymała się go kurczowo za kudły, aż wreszcie pudel rzucił się ku oknu i wybiwszy szybę z niezwykłym pasażerem na plecach wyskoczył na ulicę. Co się to działo, trudno opisać. Ale zakończenie było takie, że tatuś skazał Żoko na banicję i Marysia z Jurkiem lekko popłakując odnieśli najdroższą wychowankę do ogrodu zoologicznego.

Trzeba dodać, że małpeczce działo się tam daleko lepiej niż w domu u ludzi. Znalazła kilka towarzyszek swojej rasy, mieszkała w ładnym domku z dużym placem pełnym chuśtawek, drzew do spinania itp. małpich przyjemności, publiczność rzucała jej dobre rzeczy, toteż wcale nie tęskniła za dawnymi czasy. Witała się z dziećmi mile, ale nie zdradzała najmniejszej chęci do powrotu. Toteż kiedyś wracając z takiej wizyty u Żoko powiedział Jurek z powagą do Marysi: Wiesz dochodzę do wniosku, że każdy się najlepiej czuje w swoim środowisku.

H. Rostafińska-Choynowska.

WEZWANIE

Wakacyjny czas —
Chodźcie z nami wraz!
Kto ma tylko zdrowe nogi,
Zwiedzać całej Polski drogi,
Od gór do morza.
W ręku mocny kij,
Przed niczym nie drżyj!
Plecak załóż na ramiona
I już cała rzecz skończona —
Możesz przed się iść!
Toż to istny raj —
Zwiedzić cały kraj,
Piękno swe przed nas roztoczy
Nabierzem go w serca w oczy
Na cały ten rok.

H. R. Ch.

ZBOŻE

A któż ciebie zboże złote odmienił,
Toś niedawno stałoś jeszcze w zieleni,
Teraz stoisz w bladym srebrze i złocie,
Na lipcowej, na słonecznej spiekocie?
A słoneczka miłościwe to ręce,
Rozsypały złoto na mej sukience. —
A czemu tak schylasz głowę ku ziemi,
Zamiast patrzeć za chmurkami białymi?
Za chmurkami trudno tęskne słać oczy,
Gdy mi cięży złoto moich warkoczy.
Wiatr je czesał, przeczesywał wytrwały,
Aż w nich ziarna pełniuteńkie dojrzały.
Oj! szkoda mi zboże ciebie, oj! szkoda!
Przyjdą kosy skończy się twa uroda.
Nie żal choć nas kosa ostra położy,
Z naszych ziaren będzie ludziom chleb boży.
A gdy wiosna, jesień, zimę zamieni,
Odrodzim się znowu w świeżej zieleni.

H. R. Ch.



WRÓBELKOWY KŁOPOT

A z wróblego gniazdeczka,
Patrzy jedna, druga główeczka,
Dziwują się pisklęta,
Że ta niwa już zżęta.
I pytają swej mamy,
Gdzie są złociste łany?
Ludzie snopki związali,
Do stodoły zabrali.
Marna dola, nam marna,
Gdy nie ma w polu ziarna.
A mama tak wywodzi,
Nic to nam nie zaszkodzi,
Owszem jeszcze pomoże,
Bo będą młócić zboże.
Tętnią cepy wesoło,
Fruwa ziarno wokoło.
Wtedy wróbla gromada,
Na podwórze przypada.
Tyle ziarnek jest wszędzie,
Że dla wróbli dość będzie,
Każdy do samych uszek,
Naładuje swój brzuszek.

H. R. Ch.

Redaktor: Dr Józef Zawidzki. **Wydawcy: Stow. Mis. Księży Pallotynów.**
Redaktorka działu kobiecego: Lucyna Kotarbińska.

DLA MATEK I WYCHOWAWCZYN

Otoczenie dziecka jako źródło chorób.

Podobnie jak każdy fizjologiczny czynnik tak i otoczenie jest dla dziecka niezbędne, jednak wszelki nadmiar osób w pobliżu dziecka musimy uważać za szkodliwy. Szczególnie niebezpieczeństwo jest tam, gdzie gromadzi się wielka ilość osób w małym i źle przewietrzonym pomieszczeniu. Pomijając zanieczyszczenie powietrza dymem tytoniowym i innymi gazami, ileż zarazków chorobotwórczych te osoby ze sobą przynoszą — i wszystko to wchłania młoda i bezbronna istota; — cóż dziwnego że często choruje i że lekarze nie mogą na dobre lekarstwo „natrafić".

Szczególną uwagę należy zwrócić na zabawę dziecka z innymi dziećmi.

Tak bliski kontakt zawsze stwarza dobre warunki do przeniesienia się zarazków z dziecka chorego na zdrowe.

Tą drogą przenosi się wiele chorób zakaźnych i pasożytniczych[1]).

Matka winna zawsze się zastanowić, czy z tej strony nie grozi jej dziecku jakie niebezpieczeństwo, a jeżeli ma najmniejsze podejrzenie, winna temu zapobiec i zabawy z podejrzanym dzieckiem zabronić.

Nie mniej niebezpieczną może być zabawa dzieci ze zwierzętami domowymi.

Należy bowiem pamiętać, że zwierzęta domowe same nie chorując mogą przenosić wiele zarazków chorobotwórczych, poza tym na sierści zwierząt mogą się znajdować jaja robaków jelitowych itp.

Bardzo trudno jest odmówić dziecku przyjemności zabawy z ulubionym psem, przyjacielem dzieci, jednak nie wolno nigdy zapominać o umyciu rąk dziecka po tej miłej zabawie.

Przenoszenie chorób zakaźnych z otoczenia na dziecko jest zjawiskiem bardzo częstym, niekiedy nawet nieuniknionym.

Ile razy się zdarza, że przychodzą krewni, znajomi i przyjaciele, którzy chcą dziecko „pobawić".

Za tę „zabawę" musi ono nieraz przypłacić ciężką chorobą a nawet życiem, bo choroby zakaźne przeważnie tą drogą się przenoszą.

Wystarczy pomyśleć, jak niebezpieczną może być zabawa z chorym gruźlikiem lub z nosicielem zarazków błonicy lub płonicy.

Czyż nie lepiej zaniechać takiej zabawy?

Dr med. Z. Lamentowski.

[1]) Koklusz, ospa wietrzna, błonica itp.

Z KSIĘGI PIELGRZYMA

ŚWIĘTOŚĆ BOŻA

Piękny słoneczny dzień, zapraszał na przechadzkę. Wybrałem się do lasu i w żywicznym, pachnącym cieniu sosen usiadłem z książką.

Las krzewił się na stoku wzgórza. Baldachim, utkany z koron drzew, cicho szumiał mi nad głową, u stóp — błękitniało jezioro. Wyniosłe czuby sosen gubiły się w niebie i wodach...

Trafiłem na rozdział o świętości Boga. Zacząłem czytać. Pióro jednego z najgłębszych teologów ubiegłego stulecia[1]) otworzyło przede mną niebiosa, przeniosło duszę moją aż do tronu Stwórcy.

„Roku, którego umarł król Ozjasz — brzmiał tekst Izajasza proroka — widziałem Pana. Zasiadał na stolicy wysokiej i wyniosłej, a powłóczysta szata jego napełniała kościół. Serafinowie nad nim stali: sześć skrzydeł miał jeden i sześć skrzydeł drugi. Dwoma zakrywali oblicze jego, a dwoma okrywali nogi jego, a dwoma latali. I wołali jeden do drugiego i mówili: — Święty, święty święty Pan Bóg zastępów! Pełna jest wszystka ziemia chwały jego! — I poruszyły się naprożniki, targnęły zawiasy bram od potęgi głosu, co wołał, a dom napełnił się dymem". (Izj. 6, 1).

Czytałem na głos i słowa natchnione księgi proroczej brzmiały mi w uszach, grały na strunach duszy. Niezrównane w swym pięknie, niesłychane w swej treści.

Odłożyłem książkę...

Oto przedmiot zachwytu niebian: — świętość Boża.

Bóg jest stale przedmiotem zachwytu najwznioślejszych dusz — aniołów i ludzi. Aniołowie Go widzą twarzą w twarz i uwielbiają świętość Bożą. My Go nie widzimy, my o Nim czytamy... Księga swoista w bibliotece wieczności — nasz świat odtwarza nam *Autora*. Księga to objawień pierworodna, wszystkim oczom uważnym otwarta, dla wszystkich ludów, dla wszystkich stopni kultury, namacalna. Czytamy w niej o Bogu i nie możemy Go dość napodziwiać w jego dziełach.

Wszechmocny Panie, wiekuisty Boże!
Kto się twym sprawom wydziwować może?
Kto rozumowi, którym niezmierzony
Ten świat stworzony?![2])

[1]) M. Scheeben — Die Herrlichkeiten de göttlichen Gnade.

[2]) Jan Kochanowski. Psałterz Dawidów. 8.

Przyziemni wielbiciele Boga, my podziwiamy Jego wszechmoc, sławimy mądrość nieskończoną, truchlejemy na widok majestatu Bóstwa. Jego wielkość zewnętrzna — rzec można — stanowi treść naszego zachwytu. Nie sięgamy głębiej.

A co wielbimy, to usiłujemy zdobyć sami... Mądrość aż do granic geniuszu, wiedzę, wynalazki, potęgę polityczną, wielkość, sławę, pieniądze...

Natomiast obu serafom imponuje świętość. Tematem ich wiekuistego zachwytu jest nie mądrość — zaiste nieskończona, ani wszechpotęga — bez granic i kresu, ani piękność, ani dobroć, ani sprawiedliwość, ani słodycz boża niewysłowiona. Nie to wielbią, tylko świętość! —

Najwznioślejszy śród przymiotów bożych, najjaśniejszy blask jego wewnętrznej istoty — oto przedmiot zachwytu aniołów. Wołali jeden do drugiego i mówili: — „Święty, święty, święty"...

„A ja odpowiem — pisze Doktor Anielski — że słowo *świętość* dwie rzeczy zawiera. Najpierw oznacza *czystość*, na co wskazuje nazwa grecka „a-gios", jakby bez (przymieszki) ziemi. I u Rzymian na nieskazitelność może wskazywać „sanctus", jakby „sanguine tinctus", ponieważ starożytni krwią ofiar skrapiali tych, co chcieli stać się czystymi. — Powtóre, oznacza *trwałość*. Stąd to starożytni nazywali „sancta" — „święte" to wszystko, co było prawem obwarowane, czego nie należało naruszyć. Toteż i dziś mówimy „lege sancitum", gdy coś jest prawem zatwierdzone"[3]).

Takim jest Bóg. W Istocie swej i w swych przymiotach — po trzykroć święty.

Czysty nieskazitelnie. Nie zna żadnej domieszki, coby Go splamić mogła. Nie ma najmniejszej skazy Jego mądrość, ani dobroć, ani żaden z przymiotów. Przeczystym był, jest i będzie. I to *trwale, na zawsze!* Nie tylko *raz* Istoty Jego zamącić nic nie zdoła, ale *nigdy!* On zawsze jest w najczystszej pełni bytu. „Actus purissimus" — jak Go sławi filozofia Kościoła. Zawsze zdobi Go mądrość bez plamy, wszechmoc bez pyłku słabości, piękność i miłość bez cienia, wszechobecność, wszechwiedza, wszechwładza nieśćmione niczym.

Najsłuszniejszy powód zachwytu obu serafów.

Przecież bowiem i mądrość — najwyższa według stworzonej miary — może runąć w odmęty głupstwa, jak

[3]) Św. Tomasz z Akwinu. Summa teologica. 2,2, qu. 81 a. 8.

runęła.... I piękność najczarowniejsza może się zamienić w czarną noc ohydy!...

I wspaniałość natury anielskiej splamiła pycha. Do wywyższenia domieszał się upadek, do blasku chwały — potępienie!...

Nie mówiąc już nic o ludziach... o ich dziejach grzechu, o podeptaniu świętości, splugawieniu wszystkiego... „Od wieku złamałaś jarzmo moje, rozerwałaś związki moje i mówiłaś": „Nie będę służyć!" „Albowiem na każdym pagórku wysokim i pod każdym drzewem gałęzistym pokładałaś się ty, nierządnico!" (Jer. 2,20). „Każda głowa chora, a każde serce żałosne. Od stopy nogi aż do wierzchu głowy nie masz zdrowia"... (Izajasz, 1, 6).

Ani natura anielska, ani natura ludzka nie dosięga sama z siebie tej wyżyny, jaką góruje ponad wszystkim — Świętość Boża. Najwznioślejszy przymiot Bóstwa, korona wszystkich doskonałości Jego, Bogu tylko własny z natury, stworzeniom udzielany przez łaskę...

Toteż aniołowie i święci uwielbiają Świętość Bożą nade wszystko[4]).

Czymże bowiem byłaby Mądrość najwyższa, gdyby nie była świętą?! Czym miłość nieskończona, gdyby nie była świętą miłością?! Czym wszechmoc, gdyby przestała być wszechmocą świętą?!

Mowa ludzka zapada w przepaść nicestwa, szukając i nie znajdując na to wyrazu... Wie tylko jedno, że sięgająca nad gwiazdy mądrość, nie święta, stała się mądrością szatanów, że miłość nie święta jest gehenną, a potęga, co świętością wzgardzi — jest legowiskiem tyranów, satrapów, potworów...

Przetoż i my, duchy ziemi, na wzór aniołów i niebian, ustalić musimy hierarchię wartości. Według tej skali najgłupszymi będą ludy, które wielbią tylko krew i ciało, tylko rasę i materię, tylko kulturę materii. Nieco mędrszy stopień osiągną te, które uwielbią wartości ducha... Mądrość i sprawiedliwość, dobroć i miłosierdzie, szlachetność i miłość narodu do narodu, klasy społecznej do klasy... A najmędrszymi będą te państwa i ludy, które na piedestał swego ducha wprowadzą — świętość Jej blaskiem opromienią i księgi swych praw, i poczynania swych mężów stanu, i troski wielkie pokoleń i zabiegi maluczkich...

Usłyszałem nagły plusk na falach.. Z szuwarów na jezioro, wypłynęło pod przewodem matki stadko dzikich kacząt. Skrzydlate, trzepotliwe, radosne, kąpało się w błękitach wód...

Zapatrzyłem się w miły obrazek — w perłową, migotliwą fontannę. Natura nierozumna, martwa i żywa, ma także swą nieskazitelną piękność — nie naruszoną do czasu jakby odblask bożej świętości.

I zdawało mi się, że cichy szum sosen hen z nieba, powtarza drugą strofę hymnu serafów::

— Pełna jest wszystka ziemia majestatu chwały twojej! —

[4]) Objawienie św. Jana, 4.

Cena ogłoszeń zatekstowych: 1/1 str. — zł 700, ½ — zł 380, ¼ — zł 200, ⅛ — zł 120, 1/16 — zł 70, 1/32 — zł 40.

PRENUMERATA „RODZINY POLSKIEJ" W KRAJU I ZA GRANICĄ WYNOSI:

ROCZNIE:

Polska	6 zł.	Czechosłowacja	35 kor. cz.
Niemcy	4 Rmk	Ameryka	2 dolary
Francja	23 frank.	Inne kraje	6 fr. szw.

PÓŁROCZNA prenumerata w Polsce — 3 zł; KWARTALNA — 1.50 zł. CENA POJEDYŃCZEGO numeru — 50 gr.
Przesyłki pieniężne adresować: P. K. O. 14.664, Stowarzyszenie Misyjne Księży Pallotynów (Rachunek Wydawnictw).

Adres REDAKCJI I ADMINISTRACJI: Warszawa 1, Krakowskie Przedmieście 71. — Telefon 2-40-15.

Redaktor przyjmuje w poniedziałki i piątki od godz. 15 — 17. Rękopisów niezamówionych redakcja nie zwraca.

Drukarnia Archidiecezjalna — Warszawa, Krak. Przedmieście 71.